DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII | Warszawa, 20 lipca 1952 r. | Nr 29 (347)

Wojciech KĘTRZYŃSKI

U progu dziewiątego roku

NIE wolno nam tracić z oczu perspektywy naszej epoki:

Żyjemy w ósmym roku rewolucji ludowej w Polsce, realizujemy już trzeci rok sześcioletniego planu gospodarczego. Wokół nas, na całym świecie ludy walczą o wyzwolenie się z pęt kapitalizmu, umacniają swe zdobycze rewolucyjne. Wokół nas — bo walka toczy się w bliskiej Francji, na odległej Korei, w Viet Namie, w Afryce Północnej. Zdobycze rewolucji utwierdza Związek Radziecki, realizując plan wielkich budowli komunizmu, wysiłkiem milionów rąk realizują swe plany Chiny Ludowe, i bliskie nam kraje demokracji ludowej i najbliższa nam Niemiecka Republika Demokratyczna.

W siedem lat po upadku Berlina i zmiażdżeniu Rzeszy hitlerowskiej jesteśmy świadkami organizowania się na świecie nowego agresywnego obozu, tym razem bezpośrednio kierowanego przez amerykański imperializm. Od roku 1948 tak zwany „plan Marshalla" spętał i rzucił do stóp władców z Wall Street większość rządów europejskich. Dziś decyduje się w Waszyngtonie z tą samą łatwością ile litrów Coca-Cola ma wypić przeciętny mieszkaniec Europy zachodniej, jak również ilu europejskich żołnierzy ma zginąć w Korei, ilu amerykańskich żandarmów ma patrolować po ulicach miast Francji, Anglii, czy Niemiec zachodnich. Po „planie" Marshalla — „plan" Schumana podporządkował dyrektywom amerykańskich koncernów ciężki przemysł francuski i niemiecki. „Plan" Plevena dał podwaliny dla organizacji „europejskich" sił zbrojnych, na czele których stoi generał, wyznaczony przez sztab amerykański. Od dwóch lat toczy się agresywna wojna w Korei, gdzie w imieniu jakoby Narodów Zjednoczonych dowodzi amerykański generał, mianowany i odwoływany na mocy jednostronnej decyzji prezydenta Stanów Zjednoczonych, nie zobowiązany nawet informować o swych planach i decyzjach takich sojuszników jak Wielka Brytania.

W siedem lat po zdobyciu Berlina polityka amerykańska przekreśliła nie tylko Poczdam, ale i wyrok norymberski, powołując do życia Wehrmacht, skazany w osobie marszałka Keitla jako organizacja ludobójcza; zrehabilitowani marszałkowie i generałowie powracają na swe stanowiska a idea odwetu i zaboru staje się na powrót obowiązującą częścią programu rządu bońskiego, tak samo jak hymn niemieckiego imperializmu „Deutschland, Deutschland über alles" powraca na swoje miejsce obowiązującego hymnu państwowego.

Takie jest oblicze tamtego świata w siedem lat po zakończeniu II wojny światowej. Po co o tym pisać? Czyż każdy tego nie zna z codziennych gazet?

Bez wątpienia każdy uświadomiony Polak zna te fakty. Jednak trzeba je sobie ponownie uświadomić i zestawić w pamięci, by docenić wagę wydarzeń, dziejących się tu, w Polsce, przed naszymi oczyma, na co dzień.

W dniu 22 lipca tłumy ludności stolicy polskiej i tłumy gości z całego kraju będą oglądać olśniewające blaskiem świeżości gmachy Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, młodzież będzie święcić swe produkcyjne zwycięstwa na Zlocie Młodych Przodowników Budowniczych Polski Ludowej.

W dniu 22 lipca, w ósmą rocznicę Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, zapowiadającego rychłą i ostateczną klęskę hitlerowskich okupantów — oczekujemy nowej konstytucji, regulującej na nowych podstawach ludową władzę Państwa Polskiego.

Dzień 22 lipca zamyka więc pewien okres dziejów polskiego wysiłku nad pokonaniem spuścizny zniszczenia i niewoli, a otwiera nowe horyzonty, rysujące się mocno wokół walki o pokój i Plan sześcioletni.

Jednak ani radość ani duma nie zwalnia nas z obowiązku patrzenia badawczym okiem gospodarzy na okoliczności, w których przychodzi nam budować przyszłość naszego kraju. Stąd właśnie potrzeba wyliczenia na wstępie tych wszystkich wydarzeń, które naszą właśnie epokę tak bardzo charakteryzują.

W niektórych kręgach naszego społeczeństwa tkwią jeszcze, gdzieś w głębiach jego podświadomości, odziedziczone po latach niewoli, skłonności do życia na marginesie swojej epoki. Jeśli postawa ta ułatwiała nam bez wątpienia przetrwanie ciężkiego okresu rozbiorów, jeśli nie jednemu dodawała otuchy w latach walki z hitleryzmem i pozwalała w ostateczności przechodzić lekko koło niejednej klęski czy zawiedzionej nadziei, to w konsekwencji chowała ona pokolenie nierealnych marzycieli, zdolnych do wyczynów, ale nie do długotrwałej i planowej pracy twórczej.

Postawa ta jednak obca była w swym założeniu duchowi mas proletariackich, których twarda, codzienna walka o byt uczyła realizmu w ocenie rzeczywistości i skupienia wysiłków wokół celów w danym czasie najważniejszych. Dlatego też, w chwilach krytycznych dla narodu nie romantyzm inteligencki, nie oportunizm mieszczański, ale mocny bojowy realizm proletariacki w ostateczności wyznaczył właściwą drogę do zwycięstwa.

I dziś w dalszym ciągu pokutuje wśród nas wiele z tych cech, które możemy usprawiedliwiać przeszłością, ale które dziś stanowią kulę u nogi w narodowym wytrwałym wysiłku dla odbudowy i umocnienia naszego kraju.

Cóż oznacza oddanie do użytku ludności stolicy gotowych bloków Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w dniu 22 lipca? Oznacza nie tylko świadomy wysiłek naszych budowniczych, by Warszawa stawała się piękniejsza, z każdym dniem bardziej zacierała tragiczne ślady wojennych zniszczeń. Oznacza troskę o stopę życiową ludności, o danie ciężko pracującym tysięcy nowych izb w estetycznej, wygodnie położonej śródmiejskiej dzielnicy.

Ale cóż znaczy ten sam fakt na tle sytuacji międzynarodowej. Znaczy on, że dzięki wytężonej pracy całego naszego społeczeństwa stać nas dziś na to, by jednocześnie umacniać podstawowe siły naszego państwa, przez budowanie ośrodków przemysłowych, przez stopniowe przezwyciężanie konsekwencji dawnych uzależnień od obcej, kapitalistycznej produkcji, przez przezwyciężanie prób blokady ekonomicznej—a jednocześnie stać nas na budowanie pięknych i wygodnych domów w naszej stolicy. W państwach kapitalistycznych tak się nie dzieje. Bogaci budują dla siebie luksusowe nawet rezydencje, gdyż mają na to, państwo natomiast cofnęło dziś kredyty na popularne budownictwo mieszkaniowe, nawet najskromniejsze, gdyż budżety militarne pochłaniają wszystko, co tylko dać mogą podatki zubożałych mas pracujących.

Mimo tego jednak słyszymy wokół charakterystyczne dla pewnych środowisk biadolenie nad warunkami naszego życia, wzdychanie do dawnych dobrych czasów, wytykanie ze złośliwą satysfakcją wszelkich braków, wszelkich niedociągnięć, wszelkich ograniczeń, wynikających z ogromu wysiłków młodej jeszcze gospodarki narodowej. Postawmy sobie sprawę jasno: mamy dziś do wyboru — stopniowe planowe i harmonijne podnoszenie się poziomu c a ł e g o naszego życia, więc tak produkcji jak i konsumpcji, albo szybki wzrost luksusu i wygody życia dla garstki, kosztem tym szybciej rozwijającej się nędzy mas. W pierwszym wypadku — obowiązek usilnej pracy wszystkich, pogodne znoszenie koniecznych ograniczeń, ale także i poczucie, że na pewnych podstawach budujemy swe nadzieje, w drugim blichtr, łatwizna, może nawet nastrój odprężenia, ale za cenę życia ponad stan, a w ostateczności — chaos gospodarczy, stosunki pół-kolonialne, faszyzacja życia—militaryzm jako jedyna deska ratunku. Zastanówmy się nad wyborem. Świetna metoda określenia własnej postawy ideowej, obnażonej z wszelkiej frazeologii i zakłamania. Po jednej stronie ideologia mas pracujących, po drugiej — szukanie możliwie wygodnej pozycji w hierarchii ucisku i krzywdy.

Niechże więc ci, których wzrusza Trasa W—Z, MDM, odbudowa Starego Miasta czy piękna perspektywa Nowego Światu i Krakowskiego Przedmieścia zastanowią się dobrze, czy są i czy byli logiczni dotąd w swej postawie ideowej. Jeśli tak, niech w niej trwają z poczuciem świadomego udziału w tworzeniu tego piękna, jeśli nie, niech się zdobędą na odwagę zerwania z własnym wewnętrznym kompleksem zakłamania czy niewiary i niech odważnie zrewidują swe błędy. Dzień 22 lipca daje ku temu świetną okazję.

Sięgnijmy jeszcze dalej w głąb naszej mentalności: jesteśmy dopiero u progu życia socjalistycznego. Ile nawyków, tyle konfliktów z duchem naszej epoki. Chcemy być nie pionkami, nie bezduszną masą, lecz ludźmi świadomymi swych czynów i moralnie odpowiedzialnymi za swą postawę. Czy znamy swoje słabości?

Co to jest, dla przykładu, duch inicjatywy prywatnej. Nie tu miejsce na teoretyczne rozważania na temat wyższości jednej formy własności nad drugą. Czy jednak wszyscy zdajemy sobie dobrze sprawę do czego dziś, konkretnie, sprowadza się w Polsce „ideologia" własności prywatnej? Po prostu — do zasady nieograniczonych zysków dla najsprytniejszej jednostki. Czyim kosztem? Bliźniego, ale to mało: wszystkich bliźnich, wszystkich Polaków. Albo Trasa W—Z, MDM, Stare Miasto, Nowa Huta, unowocześnione maszyny w kopalniach, polska penicylina, traktory dla wsi, milionowe nakłady książek dla dzieci i dorosłych — albo „inicjatywa prywatna", dezorganizacja rynku, spekulacja, handel łańcuszkowy, pokątne interesy i pieniądze zamrożone w najbardziej niecelowych

(Dokończenie na str. 2)



Ogólny widok placu M.D.M. w początkach lipca

fot. CAF

Wręczenie nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka

NAGRODA im. Włodzimierza Pietrzaka, jak co roku, stała się centralnym punktem zainteresowań twórczego środowiska katolickiego w Polsce. W roku bieżącym jury Nagrody składające się z: ks. prof. Eugeniusza Dąbrowskiego, wice-przewodniczącego Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich — jako przewodniczącego oraz członków: ks. prof. dr Stanisława Hueta, prodziekana Wydz. Teologii Katolickiej U. W., rektora U. J. dr Tadeusza Lehr-Spławińskiego, prof. U. M. K. dr Konrada Górskiego, prof. KUL dr Kaliksta Morawskiego, Mieczysława Kurzyny, dyr. Liceum pod wezwaniem św. Augustyna i Andrzeja Krasińskiego, członka red. „Dziś i Jutro" zdecydowało na posiedzeniu w dn. 5 czerwca b. r. przyznanie nagrody naukowej, dwóch nagród publicystycznych i nagrody młodych.

Nagrodę naukową otrzymała dr Stefania Skwarczyńska, prof. Uniwersytetu Łódzkiego z uzasadnieniem „za wybitną działalność naukową w zakresie teorii literatury, historii literatury polskiej i krytyki literackiej".

Nagrody publicystyczne otrzymali: Zygmunt Przetakiewicz, naczelny redaktor „Słowa Powszechnego", „za całokształt pracy na stanowisku redaktora „Słowa" oraz za zasługi w dziedzinie upowszechnienia w społeczeństwie polskim świadomości roli i znaczenia Ziem Zachodnich" oraz dr Aleksander Rogalski, sekretarz redakcji pisma „Życie i Myśl", „za dorobek publicystyczny lat ostatnich zarówno w dziedzinie krytyki literackiej omawiającej twórczość wybitnych pisarzy katolickich jak i za działalność publicystyczną przedstawiającą wnikliwie procesy zewnętrzne katolicyzmu w Niemczech oraz głębokie wniknięcie w problematykę Ziem Zachodnich".

Nagrodę młodych otrzymał Janusz Zabłocki, „za dotychczasową działalność w dziedzinie krytyki literackiej ze szczególnym uwzględnieniem prac dotyczących neotomizmu i personalizmu".

Wręczenie Nagrody ufundowanej przez Stowarzyszenie Pax stało się okazją do zebrania przedstawicieli twórczych środowisk katolickiej kultury w Polsce i odbycia dyskusji na temat najbardziej palących obecnie dla niej zagadnień.

Podstawę do dyskusji zarysował w swoim przemówieniu prezes Stow. „Pax" p. Bolesław Piasecki. Przemówienie jego dotyczyło dwóch węzłowych dzisiaj zagadnień: przezwyciężenie tendencji wewnętrznego odizolowania się od spraw, które niesie nam epoka budowania socjalizmu i zagadnienie ustalenia potrzeb kulturalnych społeczeństwa katolickiego w Polsce oraz wynikłych stąd postulatów organizacyjnych. Stowarzyszenie „Pax" umożliwiając i popierając katolicką twórczość artystyczną i naukową (co wyraża się choćby w fakcie corocznego przyznawania Nagrody im. W. Pietrzaka) wzywa wszystkich tych, którym drogie są wartości kultury katolickiej do konsekwentnego i moralnie w pełni odpowiedzialnego wydobywania tych wartości i przetwarzania ich na użytek społeczeństwa budującego nową epokę.

„Aby kultura oparta o światopogląd katolicki mogła w czasach obecnych spełniać swoje zadania nadprzyrodzone, musi podjąć wysiłek zrzucenia tego brzemienia minionych wieków i zespolenia społecznej prawdy naszej epoki, ugruntowanej na podstawach naturalnych z nadprzyrodzoną prawdą Objawienia. Osobiście uważam, że najkonsekwentniej i najskuteczniej można służyć temu zadaniu jeżeli przyjmie się świadomie założenie służby zarazem Kościołowi i wyrażającej naturalne dążenia osoby ludzkiej społecznej rewolucji socjalistycznej" — mówi laureat nagrody młodych, Janusz Zabłocki.

Stwierdzenie to obowiązuje zarówno naukowca i artystę katolika jak i polityka i publicystę. Epoka tak brzemienna w zmiany nie pozwala katolickiemu sumieniu, poczuwającemu się do odpowiedzialności nie tylko przed społeczeństwem ale i przed Bogiem na uchylenie się od ciężaru twórczości, od ciężaru myślenia, od ciężaru działalności. „To sumienie każe nieraz publicyście katolickiemu stanąć przeciw pewnym kręgom ludzi, z którymi łączą go więzy wspólnej religii i narażać go na gniew i najróżniejsze zarzuty z ich strony... Busolą jego pracy będą wskazania i nauki Kościoła" — oświadczył dr Rogalski.

Z ogólnego tonu dyskusji i wypowiedzi laureatów, a zwłaszcza red. „Słowa Powszechnego" Zygmunta Przetakiewicza wynikało, że przy pełnym uznaniu znaczenia twórczości literackiej i artystycznej najbardziej palącym zagadnieniem dla katolika jest kwestia społeczna. Na tym odcinku katolicy dopuścili do szeregu bardzo poważnych i niesłychanie szkodliwych w następstwach zaniedbań. W olbrzymiej mierze wynikało to z socjologicznych powiązań katolicyzmu z warstwami posiadającymi. Jedną z naczelnych konieczności dzisiejszych jest przezwyciężenie pozostałych jeszcze w ideologii śladów tych powiązań. „Słowo Powszechne" jest właśnie codziennym i szeroko kolportowanym pismem, które na odcinku polskim zadanie to właśnie spełnia. Ś. p. prałat Kozubski pisał, że istota dziennika katolickiego tkwi w oglądaniu rzeczywistości przez pryzmat wiary i wykładnika autorytatywnego, czyli Kościoła nauczającego.

„Służymy aktualnym interesom narodu a jednocześnie przyczyniamy się do stworzenia najlepszych warunków dla pełnego współistnienia światopoglądu katolickiego w państwie budującym socjalizm" — powiedział Zygmunt Przetakiewicz.

Szczególną wagę ideologiczną miała wypowiedź laureata nagrody naukowej, dr Stefanii Skwarczyńskiej: „...Dobrą walkę przeprowadzić w naszych czasach jest trudno. Załamują się dawne formy, dawne kształty przez niesłychany dynamizm nowych sił twórczych... człowiek postawiony jest zawsze przez Boga na jakiejś placówce. Trzeba działać konkretnie, trzeba tworzyć i trzeba w tym działaniu dawać wyraz temu co możnaby wyrazić trawestacją: „nic z tego co człowiek tworzy nie może być obce Bogu. Miłością twórczą, miłością spod znaku Bożego trzeba dążyć do tego, aby człowiek był człowiekowi bratem, ażeby umiał troszczyć się o to, by drogi Boże móc odczytywać przez bieg historii, przez zakręty, aby mieć pokorę a nie dumę posiadacza prawdy, aby być gotowym przyznać zawsze, że niejedno dobro, które się dzieje jest istotnie dobrem, choć nie jest uskutecznione naszymi rękami".

Ważne problemy poruszał ks. prof. dr Huet przemawiając w imieniu Wydz. Teologii Katolickiej U. W. Jednym z najważniejszych zadań, decydujących niemal o dalszych losach katolicyzmu polskiego jest zagadnienie wychowywania i wykształcenia nowych kapłanów. Złożywszy sprawozdanie z działalności Wydz. Teologii skierował ks. prof. Huet apel o aktywną pomoc w rozwiązywaniu jego potrzeb z uwagi na rolę Wydziału w życiu polskiego katolicyzmu.

W toku dyskusji parokrotnie zabierał głos ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski, przewodniczący zebrania. Oceniając katolicką rzeczywistość kulturalną w Polsce ks. prof. Dąbrowski podkreśliwszy pozytywny skutek działalności Instytutu Wydawn. „Pax" wskazał na szereg leżących odłogiem zagadnień, które w interesie przyszłości katolicyzmu polskiego wymagają przepracowania.

Zamykając dyskusję ks. prof. Dąbrowski oświadczył: „Utwierdziliśmy się w przekonaniu o konieczności „czynnego współudziału w tworzeniu się tej formy kultury katolickiej, tkwiącej korzeniami w przeszłości, a wychodzącej na spotkanie przyszłości, która przed nami stoi".

Bs.

(Dokończenie ze str. 1)

inwestycjach. To jednak tylko jedna strona medalu. Jest druga. Istnieje problem ducha inicjatywy prywatnej na odcinku uspołecznionym naszego życia gospodarczego. Istnieją placówki usługowe, trawione tęsknotą do minionych warunków „złotych zarobków", przypominające klientom pogardliwym spojrzeniem, czy tonem wyższości, iż bliźni w spółdzielni nie równa się w niczym bliźniemu z „prywatnego interesu". Istnieje urzędnik z widomą satysfakcją przypominający interesantom, iż jest, we własnym mniemaniu, tylko nieodpowiedzialnym kółkiem w maszynerii biurokratycznej. Istnieje lekceważenie, lenistwo, arogancja, istnieje świadome szkodnictwo — relikty epoki minionej, gdy służalczość hodowana była na gruncie chciwości i strachu przed pracodawcą. Dziś, z tej epoki pozostał nam w spadku twardy, bezwzględny egoizm nakazujący „dać z siebie społeczeństwu jak najmniej, wziąć jak najwięcej".

Czy zdajemy sobie zawsze sprawę z tego jak bardzo, choć czasem nieświadomie — szkodzimy tą postawą własnemu narodowi, wszystkim, sobie.

A przecież jesteśmy narodem w walce i od wysiłku i poczucia odpowiedzialności każdego z nas zależy ostateczne zwycięstwo. A stawka jest nie byle jaka — gdyż jest nią nie tylko nasz przyszły dobrobyt. Nie tylko stworzenie dla człowieka warunków bytu, godnych osoby ludzkiej — ale także obronienie owoców naszej pracy przed tymi wszystkimi, którzy z zazdrości, czy ze złości chcą dziś już jawnie doprowadzić świat do nowej masakry, nowych zgliszczy i ruin.

Dzień 22 lipca jest tym właśnie dniem w roku, gdy każdy z nas powinien się chwilę zastanowić nad własnym stosunkiem do ciążących na nim obowiązków społecznych, tak wobec wewnętrznych problemów polskich, jak wobec konkretnej sytuacji międzynarodowej, w jakiej Polska swój plan odbudowy i reform dziś przeprowadza.

Wielka idea Frontu Narodowego wokół zadania walki o plan 6-letni i o pokój — nie wyraża nic innego, jak właśnie realizację tych podstawowych, wspólnych dla wszystkich Polaków obowiązków w stosunku do własnej Ojczyzny.

Nikt w Polsce nie zamierza ukrywać istniejących różnic między katolickiemi i marksistowskimi założeniami światopoglądowymi. Katolicy wierzą w naukę przez Boga objawioną a przez Kościół głoszoną. Marksiści dowodzą materialistycznych zasad swej filozofii. Nikt również nie zamierza zacierać odbicia tej problematyki światopoglądowej na odcinku kultury, oświaty czy moralności. Nie przestaniemy też wyrażać naszej, katolickiej troski, by oblicze człowieka odbijało wizję Boga, na obraz i podobieństwo którego został przed wiekami stworzony.

Poczucie odpowiedzialności za światopogląd nie zwalnia nas w niczym z poczucia odpowiedzialności za wspólne dobro narodu polskiego, za wspólną sprawę zwycięstwa zasad sprawiedliwości nad społecznym niewolnictwem kapitalizmu. Obie te płaszczyzny walki uzupełniają się, a nie wykluczają.

Społecznie postępowa część katolików polskich uświadamia sobie doskonale zakres ciążącej na nich odpowiedzialności we Froncie Narodowym. W nowej Konstytucji Rzeczypospolitej Ludowej widzą oni narzędzie, umacniające zdobycze rewolucji, ale jednocześnie umacniające również Front Narodowy, tych zdobyczy obrońcę. W zasadach Porozumienia między Kościołem a Państwem postępowa społecznie część polskich katolików nie szuka pretekstów dla taktycznych manewrów, ani podstawy do targowania się wokół sprawy praw i obowiązków katolików w Polsce Ludowej. W Porozumieniu znajduje natomiast mocno i nieodwracalnie wyrażone przeświadczenie, iż zadaniem katolika w chwili obecnej jest być pełnowartościowym budowniczym swego kraju, czujnym strażnikiem jego bezpieczeństwa, ideowym i patrzącym w przyszłość reformatorem stosunków społecznych, nie przestając być w żadnej mierze wiernym i gorliwym synem swego Kościoła.

Na progu dziewiątego roku Polski Ludowej, w chwili, gdy opinia publiczna całego świata wezwana została na III Kongres Pokoju, by odeprzeć próby narzucenia ludzkości nowej wojny, gdy z wytrwałym trudem wszystko co wartościowe w narodzie polskim buduje zręby nowej epoki — postępowe społecznie rzesze katolików polskich, tak jak i na całym świecie, wyrażają swe najgłębsze przeświadczenie, że potrafią spełnić należycie swe obowiązki tak wobec rewolucji proletariackiej, jak i wobec strzeżonej przez autorytet Kościoła — nauki Chrystusowej.

Wojciech Kętrzyński

NOTATNIK POLITYCZNY

ROZGRYWKI WYBORCZE W USA

PRZEZ cały ubiegły tydzień uwaga Stanów Zjednoczonych skupiała się wokół obradującej w Chicago konwencji partii republikańskiej, gdzie do walki wyborczej stanęło dwóch kandydatów: gen. Eisenhower i senator Taft. Obecnie wiadomo już, że walka ta przyniosła zdecydowane zwycięstwo gen. Eisenhowerowi, wynik jej jednak do ostatniej chwili był trudny do przewidzenia. Senator z Ohio opanował bowiem w znacznym stopniu republikańską maszynę partyjną. Ujawniło się to wyraźnie, gdy komitet organizacyjny republikańskiego kierownictwa partii powierzył gen. Mac Arthurowi wygłoszenie wstępnego przemówienia na konwencji w Chicago, wybrał Waltera Hallahana, człowieka Tafta, na stanowisko przewodniczącego konwencji oraz senatora Eugeniusza Millikina z Denver, również jawnego zwolennika Tafta, na przewodniczącego komisji ogólnej.

Ludzie Eisenhowera protestowali głośno przeciwko tej taktyce stronników Tafta, wiedząc wszakże o tym aż nadto dobrze, że narodowe konwencje partyjne od dawna organizowane są właśnie w ten sposób. Dziś uskarżali się oni — trzeba powiedzieć dość nagle — że metody te nie są demokratyczne; biadania ich brzmią jednak dość dziwnie, gdy się zważy jakimi środkami Herbert Brownell — famulus sprzed czterech lat Toma Dewey'a — manipulował przy nominacji swego pryncypała. Ten sam Brownell, który obecnie dzień i noc pracował nad uzyskaniem nominacji dla Eisenhowera.

Jak widać z tego „proces nominacji" amerykańskiego kandydata na prezydenta jest niezwykle skomplikowany, ale na pewno nie jest demokratyczny. Czyż może zresztą być mowa o demokracji, gdzie w grę wchodzą nie tyle Eisenhower czy Taft ile stojące za ich plecami wielkie monopolistyczne koncerny amerykańskie?

Jest rzeczą oczywistą, że do zwycięstwa Eisenhowera przyczyniła się jego popularność, która bez wątpienia musiała wywrzeć duży wpływ na delegatów. Nie ulega także kwestii, że pewną rolę odegrało tutaj nastawienie Eisenhowera do polityki wewnętrznej, które w wielu sprawach jest bardziej konserwatywne niż stanowisko Tafta. Zwolennicy Eisenhowera twierdzą, że tego rodzaju taktyka była potrzebna, aby uzyskać nominację. Na pewno jednak nie pomoże ona Eisenhowerowi w listopadowych wyborach.

Jakkolwiek walka między obu rywalami republikańskimi była bardzo ostra, a nawet wydawało się chwilowo, że grozi rozłam w łonie partii, obecnie po zwycięstwie Eisenhowera, republikanie tworzą zwarty front, chcąc zapewnić sobie ostateczne zwycięstwo. Wyrazem tego jest fakt, że zaraz po zakończeniu konwencji najzagorzalsi zwolennicy Tafta i Mac Arthura rozpoczęli konferencje z Eisenhowerem. Widać z tego, że gdy w grę wchodzi interes wszystkie inne względy nie mają znaczenia.

Obecnie w Stanach Zjednoczonych duże zainteresowanie budzi pytanie, kto będzie przeciwnikiem Eisenhowera w listopadowych wyborach. Demokraci przygotowują się do swej konwencji, która rozpocznie się 21 lipca Spośród trzech kandydatów, którymi są Stevenson, Kefauver i Harriman, ten ostatni zdaje się ma największe szanse. Niektórzy wprawdzie uważają, że konwencja demokratów wysunie na czoło gubernatora Adlai Stevensona, jeśli tylko zechce on przyjąć nominację, niemniej ostatnie decydujące zwycięstwo Harrimana w kilku ważnych okręgach wyborczych zdaje się przechylać szalę na jego stronę. Averall Harriman, były tzw. „latający ambasador" planu Marshalla postawił na dobrego konia. Powołuje się on na najbardziej radykalny program „New Dealu" i „Fair Dealu". Pamiętając o tym, że program ten przyczynił się do zwycięstwa Trumana trudno uwierzyć, aby Harriman był szczery w swych wypowiedziach, tym niemniej jednak jego demagogiczne chwyty, jak wystąpienia przedwyborcze przeciw dyskryminacji rasowej zapewniły mu pewien sukces w dzielnicach murzyńskich. Także jego opozycyjne stanowisko w sprawie projektu ustawy przeciw immigracyjnej Mc Carrana przyniosło mu głosy Amerykanów obcego pochodzenia. Jakkolwiek Harriman uważa, że jego bezkompromisowe stanowisko w programie odnoszącym się do praw obywatelskich przyniesie korzystne dla niego rozstrzygnięcie w wielkich centrach przemysłowych północy, nie jest on jednak zbyt groźnym przeciwnikiem dla Eisenhowera. Nie należy wszakże zapominać, że każdy kandydat republikański czy demokratyczny w gruncie rzeczy reprezentuje interesy tej czy innej grupy kapitału. Cele obu partii są w istocie jednakowe: utrzymanie ustroju kapitalistycznego, walka z postępem społecznym, kontynuowanie polityki zbrojeń i wielkie zyski monopoli przy równoczesnym obniżeniu poziomu życia mas.

Zygmunt LICHNIAK

Ulice wiodące do radości

SPOTKALI się przy betoniarce. Przekrzykując warkot fukającego spalinami motoru jeden pytał drugiego:

— Panie, gdzie tu ulica Koszykowa?

Zapytany skierował się nosem ku północy, przez chwilę medytował, przywracał pamięci dawny plan, wreszcie zdecydował się na niejasną hipotezę. Wyciągnął rękę wahającym gestem na prawo i zaryzykował:

Chyba tu. Pod tymi filarami. Zresztą nie wiem. Dawniej szło się tędy...

Motor zakaszlał się na chwilę i stanął. Jakaś niegroźna awaria pozwoliła dwom zdezorientowanym przechodniom na spokojniejszą rozmowę. Poszukujący ulicy Koszykowej chciał dobrodusznie zatuszować sytuację.

— O, przepraszam, pan pewnie nie tutejszy. Z prowincji chciałem powiedzieć.

Ale tamten był tutejszy. Na słowo o prowincji powiedział słowo niecenzuralne. Stary „rodak warszawski".

— No, to gdzie jest ulica Piękna?

Szukali jej razem. Też nie było. Ale stwierdzili, że można pójść ulicą ładną. Poszli więc ładną. Nie zmartwiło to ich, że Śniadeckich jakoś im się zatarła. Nie speszyło ich, że powstała jakaś nowa boczna jeszcze bez nazwy.

Szedłem z nimi.

Przypomniały mi się podobne spotkania w innej, tragicznej wersji. Też się ktoś pytał o Piękną, o Koszykową, o Kamienne Schodki, o Katedrę. Odpowiadało się równie, lecz w jakże odmienny sposób, niejasnymi hipotezami: gdzie te dwa głębokie leje. Zresztą nie wiem.

— Chyba tu. Tam, gdzie ten kikut spalonego komina. Albo może tam. Dawniej szło się tędy...

Szukaliśmy tych ulic razem. Z trudem to przychodziło. Przez zwaliska cegieł, pod zwiędłymi w ogniu łodygami latarń, wśród mogił strażujących w niepotrzebnej wierności u bram domów, z których pozostały tylko bramy. Nie było ulicy Kruczej, Świętokrzyskiej, Hożej. Nie było ulicy Pięknej i Koszykowej. Była jedna ulica smutna.

Ale w mądrej dialektyce wspomnień prowadzi ona ku ulicom radosnym, ku prostej strzale trasy lipcowej sprzed trzech lat, ku Nowej Marszałkowskiej sprzed lat dwóch, ku budowlom Młynowa, Mirowa, Muranowa sprzed roku, wreszcie ku wielkiej siatce M.D.M.-u.

Widziało się, jak ręce robotników w twardym trudzie zadyszanych dni dziergały jej wielkie oka, dzisiaj zagarniające okrytych połów słońca i radości ludzkiej. Rósł z dnia na dzień utrwalany w konkrecie cegły z żelbetonu plan lepszego jutra.

Umawiałeś się w środę ze znajomym do kawiarni. Miałeś z nim w sobotę przedyskutować jego artykuł. Szedłeś w sobotę do kawiarni. Nie było kawiarni. Zmiotło ją z ziemi wraz ze zmurszałymi resztkami czynszowej kamieniczki. Buldożery ryły już dół pod fundament domu dla kilkudziesięciu rodzin. Ot, zdawało by się osobiste wspominki.

Nie, tu wspomnienia osobiste stają się czymś nieważkim. Liczy się tylko waga wspomnień istotnych, wspomnień, które są już zapisem historii dni odległych, bo dni sprzed dwóch lat czy sprzed roku, dni w którym M.D.M. był tylko planem, czy bryłą kamienia węgielnego.

A kamień węgielny pod budowę pierwszego bloku położono 16 września roku 1950. Odległy to czas wielkiej decyzji, którą poprzedził trud myśli inżynierskiej, śmiały rzut projektu, zmieniającego centrum wielkiego miasta, z tłumu bezpretensjonalnych czynszowych kamienic, z rojowiska bezładnych budowli stylu „geschäftmeier"—w perspektywiczną dla słońca otwartą, nowego ładu myśl wyrażającą cięciwę ulicy, którą do śródmieścia miał się sprowadzić lud. Inżynierskiej myśli zaczęła nadawać kształt realny dłoń robotnika. W środku rojnego miasta obok rozdzwonionych tramwajów, niemal na drodze ciągle przewalającej się fali przechodniów wyrastał nowy dziw Warszawy. Warszawiacy przyzwyczajeni do dziwów, zblazowani już trochę trasą W — Z, Mariensztatem czy Muranowem, początkowo nie zwracali uwagi na te narodziny nowej dzielnicy.

Z tablic współzawodnictwa i szpalt kolumn w miejskich pismach codziennych wysuwały się coraz nowe nazwiska realizatorów. Poderwał ich do zwiększonego wysiłku znany Czajka Ruszyła na „pełny bieg" trójka Poręckiego, Oczaka i Rybaka, wzrosły cyfry, wydajnej, pięknej pracy przy nazwiskach murarzy Durki, Nyca i innych.

Warszawiacy nagle dostrzegli, że zarysowały się nowe kompleksy budynków. I nieoczekiwanie ciepły wiatr lipcowy z ubiegłego roku załopotał sztandarem pokojowej budowy: firankami świeżo zawieszonymi w oknach świeżo wybudowanych domów.

W przeddzień święta 22 lipca 1951 roku wykończono blok 1 D i 2 A. Oddano do użytku trzysta pięćdziesiąt nowych izb mieszkalnych. 75 rodzin otrzymało klucze do nowych mieszkań. Wieszała już firanki pani Tomaszewska, żona cieśli z M.D.M.-u, pani Maszkiewiczowa i murarz pan Maszkiewicz, cieszył się swoim mieszkaniem kolejarz Julian Śliwiński, nauczycielka Anna Łopińska, świetna artystka Ryszarda Hanin i wybitny literat Leon Pasternak.

Płaska makieta planów ożywać poczęła realną radością ludzkich dokonań i ludzkiego zadowolenia. Coraz więcej zwycięstw produkcyjnych, coraz żywsze tempo, coraz konkretniejszy kształt dzieła, coraz więcej firanek w oknach.

W sierpniu 1951 roku wykończono znowu 252 izb, potem blok 6 B: 32 izby, później 6 A: — 96 izb. Dalej 7 B: 257 izb, i 3 A: 306 izb. Warszawiacy, którym w dziedzinie budownictwa już byle czym się nie zaimponuje, nadrabiali drogi, by przejść ulicą Marszałkowską. M.D.M. stał się sprawą całej Warszawy. Całej Polski.

ZWYCIĘSTWA Dziewiątkiewicza, Sobierajskiego, Molendzkiego, Trusika, Ostatka, Nędzy, Ciarki czy Gołębiowskiego stawały się sprawą wspólną. Dzięki takim jak oni pierwszy rok prac M.D.M-u zakończono pełnym sukcesem. Na wielkiej naradzie wytwórczej w dniu 4 stycznia 1951 roku można było powiedzieć: plan roczny wykonany na sto dwa (dokładnie 101.5%). 1400 izb udekorowano flagami firanek. Tempo prac ciągle rosło. Warszawiacy grali w totalizatora z własną wiarą i nadzieją. Zdążą, czy nie zdążą? Wykończą czy nie wykończą? Będzie na czas czy nie będzie?

Czas jest materią elastyczną. Wola budownictwa pokojowego uelastycznia czas. Nocą nie zastygał on na M.D.M-ie w mrocznym milczeniu. Jarzył się acetylenem spawanych konstrukcji. Szumiał stłumionym rytmem betoniarek. Płynął falą cementu. W ciągu jednej nocy zazieleniły się drzewa. W ciągu jednej nocy wrosły w mur płaskorzeźby bohaterów pracy.

Rankiem ludzie nie mogli odnaleźć ulicy Pięknej. Szli ulicą ładną by widzieć, jak w ciągłym rozgwarze wzmożonego trudu spod zdejmowanych rusztowań, zza usuwanych baraków i drewnianych przybudówek wyłania się nowe. Tegorocznemu Świętu Odrodzenia nadaje ów zwycięski czyn budowniczych Warszawy głębszy, wyrazistszy sens. Idąc w amfiladzie nowych bloków nie sposób zapomnieć o wymowie dokonanego dzieła. Rosną domy — to znaczy ludzie wrastają w pokój. Rosną nowe śródmieścia dla robotników i twórczej inteligencji — to znaczy ludzie wrastają w socjalizm. Pokój wzrasta w ludziach. Socjalizm wzrasta w ludziach.

W lipcowym słońcu widać te sprawy wyraźnie. Oczywiście, lipcowe słońce nie świeci cały rok. W bardziej stonowanym świetle ujrzeć można braki, krzywizny, czasem nawet błędy. Nie wszystko jest piękne i nie wszystko jest doskonałe. Atmosfera permanentnego i bezkrytycznego zachwytu nie jest atmosferą twórczej prawdy. Wmawianie sobie i innym sielanki czy idylli nie jest wypowiadaniem prawdy historycznej. Prawda czasów naszych jest prawdą twardą, prawdą chwilami bolesną i okrutną, ale jest prawdą twórczą, prawdą rozwoju i postępu.

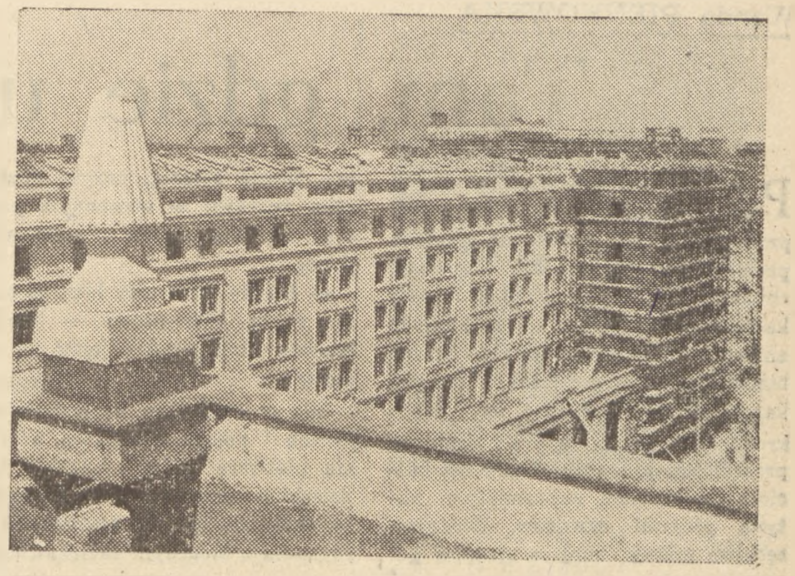
Nie musimy w siebie i innych wmawiać, że M.D.M. to jedno wielkie cudo. Na pewno nie tylko urbaniści, nie tylko architekci dojrzą tam przyczajone braki. Za silni jesteśmy i zbyt dobrze rozumiemy dialektykę błędów, by zapacykować je tynkiem, który i tak murów się nie utrzyma i muru nie wzmocni. Ale ważny jest bilans, ważny jest ogólny układ proporcji, ważna jest radość tysięcy rodzin, ważne są nowe, białe firanki w nowych słonecznych mieszkaniach i o tym pamiętać musimy.

Ta pamięć uczestniczy w naszej pracy, ta pamięć każe mnożyć wysiłki co dzieło odbudowy i przebudowy życia naszego narodu czynią pięknym i mądrym historycznie. Ta pamięć wspiera we wspólnej walce przeciwko wszystkiemu co mroczne i złe, przeciwko wszystkim siłom reakcji, wstecznictwa i antyhumanistycznego obłędu.

Tą pamięcią ożywieni, wychodząc z Marszałkowskiej na Plac Zbawiciela powtarzamy sobie i światu, że nigdy już więcej spotkań na ulicach smutnych, w miastach zamordowanych. Żaden zły wiatr nie może zerwać firanek w oknach M.D.M-u. Żaden podmuch złego powietrza nie może naruszyć płaskorzeźb w białym murze. Nic nie może odpryskiem złej i głupiej nienawiści, ugodzić w zegar, którego zadaniem jest odmierzać czas pokojowej budowy.

I właśnie o to między innymi — świadomi konieczności tłumaczenia słów na konkretną prawdę codziennego trudu — modlimy się w ciszy półmrocznej kościoła Zbawiciela, z którego jeszcze mocniejsi, jeszcze głębiej przekonani o właściwym kierunku naszych dróg wejść możemy w rosnący i walczący o nowe swoje oblicze i lepszą przyszłość świat.

Zygmunt Lichniak



Zbliża się dzień 22 lipca. Elewacje domów na M.D.M. wyłaniają się spod rusztowań

fot. CAF

Fryderyk HÖLDERLIN)*

Pokój

Niby wody potopu które w gniew
Przeraźliwy zmienione, oto znowu
Płyną ku oczyszczeniu — bo już czas

Tak rośnie, kipi i drży z roku na rok
Bez tchu — zatapiająca trwożny kraj
Ta niesłychana rzeź, która pogrąża
w ciemność i siny lęk głowę człowieczą.

Moce wojny spiętrzone na obraz fal
Odejdą precz — wstrzymujesz je, mścicielko
Której posłuszny także i bieg prac —
Ku ciszy domostw znów odrzuć zwaśnionych.

Ty co nieubłaganie, zbywszy klęsk,
Panoszącego się nad czas swój, dźgasz
Że po ostatnie z ogniw pokolenia
Nieszczęśliwego, mknie twych ciosów dreszcz

Ty co tajemnie dzierżysz i więź i miecz
Aby przynaglać i pętać — o Nemezis
Która i zmarłe karzesz, bo cień snów
Pod laurowymi gajami Italii.

Niezmącenie kołysałby dawnych zdobywców
Nie chcesz użyczyć ciszy stróżom trzód
Więc czyżby ciągle jeszcze, wciąż nie dość
Za gnuśność marzeń swych cierpiały ludy?

Któż podjął bój, kto rzucił klątwę? Nie dziś
I nie wczorajszy to dzień. Bo nawet pierwsi
Co zatracili treść miar — ojce nasi
Nie wiedzieli, gdy duchem ich zatargał gniew

Od lat, od lat ścierają się śmiertelni
Zbyt długo już źli wiodą spór o władzę
Lękając się sąsiada nie zna więcej
Błogosławieństwa na swej ziemi człowiek prosty.

Niepewnie krążą i błądzą, chaosu wzór
Zbuntowanych pokoleń życzenia wkrąg
I zdziczałe, wystygłe i złe od trosk
Jest życie ludzi ubogich nieustannie.

Ty zasię dążysz cicho poprzez jasny szlak
Matko — Ziemio — do światła, w głąb twych [illegible]
I plony zmiennych melodii znoszą ci
Nadciągające czasy, — życiem czarna!

Pełna sławy milczącej — nasycona!
Pełna potęgi niespisanych praw
Pełna żywej miłości, przyjdź i daj
Nam trwanie pośród życia — bicie serc.

Czysta od win! Bo większa mądrość niż w na
Starcach, jest w dzieciach. Nie zamąci gniew
Umysłów dobrym. Jakże jasne
I przyjacielskie wszem światło ich źrenic.

I jak wśród innych widzów śmiejąc się
Spogląda sędzia na zawody młodzi
Gdzie zagorzali zawodnicy pędzą
I wozy przez obłoki pyłu mkną.

Tak ponad nami Helios jasny lśni,
Samotny nie jest nigdy miły bóg ów
Bo wiecznie stoją wraz mieszkanki niebios
Rozkwitające gwiazdy — bosko wolne.

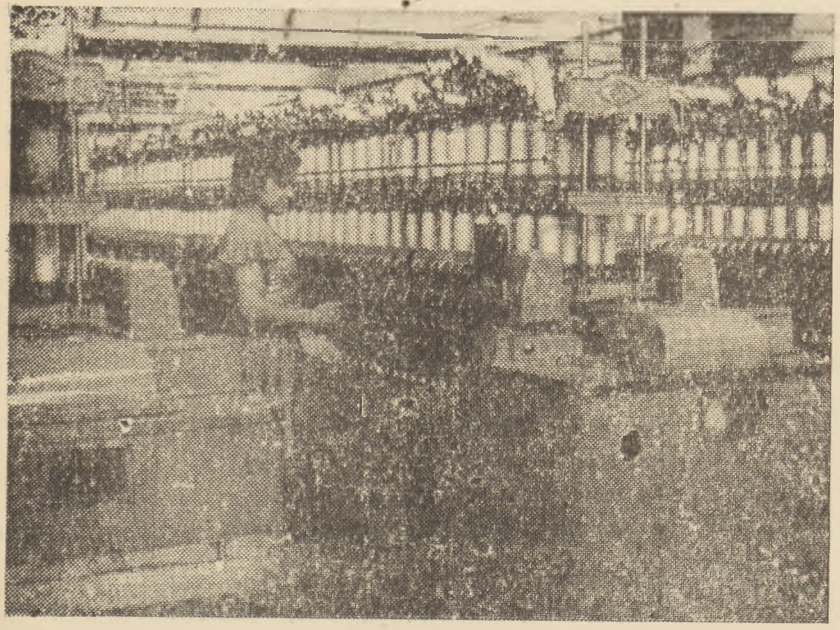
Przełożył Stanisław Bogusz

*) Fryderyk Hölderlin (1770-1843) poeta niemiecki związany z ruchem umysłowym o podłożu romantycznym, koncentrującym się wokół uniwersytetu w Tybindze. Hegel i Schelling wpłynęli w późniejszym okresie jego twórczości na zwrot w kierunku wyraźnie idealistycznym.

Wanda PIEŃKOWSKA

Tam, gdzie wczoraj Zosia gęsi pasała...

POWIETRZE było rzeźkie — jak to rankiem. Górą dachy lśniły już, przeciągając się leniwie w ciepłych promieniach słońca, ale tu, niżej, chłodny powiew grasował po zaułkach, wyskakując zza węgła i łapiąc znienacka za łydki. Ciągle jeszcze błądziłam wśród pamiątek, z których każda liczy parę wieków, na każdym kroku potykałam się o kamienie przeszłości, przeprowadzana od kościoła do kościoła nabrzmiałymi patyną głosami dzwonów. Dostojne, sędziwe miasto, miejsce zjazdów generalnych, wolnych sądów i synodów, miejsce corocznych kadencji trybunału koronnego Wielkopolski i Mazowsza aż do roku 1792, miasto gubernialne, potem powiatowe, słowem — Piotrków Trybunalski.



P.Z.P.B. w Piotrkowie. Maszyna przędzalnicza

Kędyż tu wyjście w dzień dzisiejszy? Ulica Rycerska, Farna, Sieradzka, Plac Trybunalski, Czarnieckiego, wąziutkie zaułki bez metrykalnej tabliczki na rogu, cisza przetykana trzepotem gołębich skrzydeł. Wreszcie, u wylotu w szerszą aleję, tam, gdzie słoneczna plama na bruku — zarysowała się mocno osadzona na koźle, opasła sylweta dorożkarza, podkreślona kościstą linią szkapy:

— Na prawo, absolutnie na prawo — małe, bure oczy spojrzały z pod melonika taksująco — a może podwieźć? To daleko. Nie? Nie szkodzi. Absolutnie na prawo.

I żeby nie było wątpliwości wskazał batem kierunek, uśmiechając się życzliwie fałdami tłuszczu na policzkach. Ruszyłam więc absolutnie na prawo, poza sobą zostawiając średniowieczne mury zamku i klasztorów, przed sobą mając, jako cel wyprawy, młodziutki Kombinat. Ruszyłam na prawo ulicą, która z pogodną mądrością łączy Stare z Nowym.

Od punktu, w którym szosy: warszawska, krakowska i radomska na chwilę wiążą się w supeł, aby znów wychynąć z niego wąskimi nitkami w różne strony świata — pod swoją opiekę wzięło mnie żółte ramię z napisem Radom, Kielce. Domy po bokach poczęły przysiadać coraz niżej, poufnie kłoniąc ku sobie pozieleniałe ze starości drewniane dachy, a wiatr rzucił mi prosto w nos pełną garść zapachu zoranej ziemi.

— Niedaleko — odpowiedział lakonicznie stary człowiek z taczkami.

Po chwili domy nieoczekiwanie zaczęły podnosić głowy znów wyżej i wyżej, aż zastygły w nudną szarość szeregu czynszowych kamienic. I nagle, za ostatnim z nich, zobaczyłam ów legendarny Kombinat, oczko w głowie miasta — staruszka, jego pociechę, przez którą nowego nabrało wigoru — Piotrkowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego.

Historię Kombinatu w kapitalnie lapidarnym skrócie podał mi mój stary znajomy — Franciszek, którego spotkałam właśnie tuż przed bramą. Swoją żylastą, porytą bliznami ręką zakreślił w wiosennym powietrzu szerokie półkole i rzekł mrukliwie:

— Będzie temu trzy lata, to tu rosło zboże. Rok nazad — kombajn chodził. Dziś produkujemy na trzy zmiany...

Gdy w 1949 roku na podmiejskich łąkach i polach Piotrkowa pojawiły się pierwsze ekipy polskich i radzieckich projektantów Kombinatu — okoliczna ludność śledziła ich poczynania z nieufnym zaciekawieniem.

I zapewne nikt spośród tłoczących się popod opłotkami plotkujących grupek nie doceniał nawet w części doniosłości i wagi powstającego z próbnych wierceń dzieła. Dzieła, którego twórczy ciężar tak decydującą rolę miał odegrać zarówno w życiu gospodarczym całego miasta i okolic, jak i w życiu osobistym znajdujących się w zasięgu Kombinatu jednostek.

— Moja Zośka — zaburczał znów Franciszek, ruszając wąsami — wiecie, no, wnuczka, — tam gdzie ta hala stoi gęsi kiedyś pasała. A teraz, wiecie, w Kombinacie robi. Przy maszynie.

JUŻ w maju 1950 roku zakończono badania terenu i rozpoczęto właściwe roboty. Ludzie ryli pola. Od jesieni tegoż roku można już było poprowadzić prace nadziemne.

I tu zaczyna się historia w dziejach naszego budownictwa bez precedensu, historia, o której z równym zachwytem i podziwem mówił stary Franciszek, jak i dyrektor Zakładów, murarz Pawłowski i betoniarz Gołdyn, historia, która miastu zabytków i przeszłości przyniosła sławę pierwszego miasta w Polsce, w którym „kombajn chodził".

Jako się rzekło, prace nadziemne można było poprowadzić od jesieni roku 50-tego. A więc, jak raz na zimę. Cóż, sprawa, zdawało by się, z góry, skazana na niepowodzenie — bo tyle tego budowania, ile cieplejszych chwil w zimie. Proces chemicznego wiązania cementu wymaga, nawet w lecie, 8 dni czasu, a cóż dopiero w porze mrozów. I wtedy wynikła ta historia z kombajnem.

Dziwaczne to stworzenie, poruszające się na swoich kółkach powoli i z godnością, potrafi na zawołanie rosnąć i maleć i odznacza się niepowszednimi zaletami: oszczędzając kolosalne ilości drewna zużywanego normalnie na oszalowania, przyspiesza jednocześnie tempo wykonania, ponieważ tam gdzie nie ma szalunku, nie ma robót ciesielskich przy nim, dalej daje ciągłość pracy latem i zimą, oraz niepomiernie skraca czas wiązania cementu przez zastosowanie podgrzewania betonu parą do 70 stopni.

Oprócz kilku, pozostałych jeszcze z ekipy radzieckiej, osób nikt nie wiedział jak się do kombajnu zabrać, jakie metody stosować i w jaki sposób zwierza oswoić. Na każdym kroku wyrastało dziennie po kilkanaście problemów, których rozwiązanie zdawało się przekraczać siły. Rzeczy zupełnie nowe, nieznane, przy których nikt jeszcze u nas ani się sparzył, ani zmądrzał, a więc i doświadczenia swego przekazać nie mógł. Ale załoga Kombinatu straszne się zawzięła: cóż ty, bestio jedna, od nas chcesz być lepsza? No i nie dali się.

Przez cały styczeń zgrzytał kombajn („bo się nie dotarł" — mówiono), zgrzytali robotnicy i kadra inżynierowie („ci tam chodzą jak wściekli" — mówiono), aż wreszcie „bestia", jak się rozkręciła, jak pojechała, tak prace przy konstrukcji żelbetowej skończono nie do 1 kwietnia, jak chciał harmonogram kierownictwa budowy, a do 14 marca 1951 roku.

Ale do spoczęcia na laurach było jeszcze daleko. Dzięki kombajnowi budowa łuków sklepienia hal produkcyjnych przyspieszona została o dobrych kilka miesięcy, ale sklepienia, to nie wszystko, a przecież załoga piotrkowskiego Kombinatu zobowiązała się oddać halę przędzalni cienkoprzędnej na dwa miesiące przed terminem. Więc i dalej szło na ostre:

Instalator Wierzbicki i elektryk Szaniawski wyrabiali po 300 procent normy, jak obszył. Murarz Pawłowski zamiast 12 metrów kwadratowych płytek układał na cementowej zaprawie 34 metry. Brygada betoniarska Gołdyna dzień w dzień wyciągała 250%. Ale to się tylko mówi tak łatwo. Bo jeszcze w dodatku w tym niesamowitym Kombinacie budownictwo postępowało razem z montażem, można więc się domyśleć, jak oni sobie nawzajem przeszkadzali....

No i co? No i w dniu 6 października (w sam raz dwa miesiące przed terminem) załoga zameldowała, że hala przędzalni cienkoprzędnej gotowa, że tylko ruszać. W dniu 6 listopada (1951) zaś, ruszyły pierwsze zespoły produkcyjne Kombinatu.

— Człowiek padał na nos, bośmy dzień i noc robili, ale cóż to była za radość, gdy się pokazało, że wszystko gra — podsumował tamte czasy jeden z inżynierów.

Od „tamtych czasów" nie minęło jeszcze i pół roku, a już zdają się zamierzchłą przeszłością: załoga Kombinatu, mimo prowadzenia w dalszym ciągu robót budowlanych, po uszy już pogrążyła się w pasjonujących zagadnieniach produkcji.

WNIEJEDNEJ z naszych fabryk zdarza się dziś, że robotnicy i sama fabryka rosną i krzepną pospołu. W Piotrkowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego fakt ten uderza szczególnie. Większość załogi, to ludzie bardzo młodzi i w 80 procentach ze wsi. I praca w Kombinacie jest pierwszą ich pracą z poza opłotków.

Olbrzymia hala przędzalni drży pełnym pędem maszyn. Ostrożnie posuwam się po wytwornym lśniącym parkiecie tego pałacu pracy. Wśród wirujących bez pamięci cewek, w białym blasku jarzeniowych świateł snują się uważne, skupione postacie prządek. W jasnych ciasno splecionych warkoczach, na nastroszonych ciemnych puklach — zarówno przebłyskują siwe pasma przędzy. Poprzez ogłuszający, pracowity hałas hali przenikają strzępy zdań, które majster stara się wkrzyczeć mi do ucha:

... bo element zupełnie nowy... no i jeszcze nie zawsze... ale ambitne to są... a niektóre przecie wprost z pola... a przy maszynach to każdy ruch...

Ale majster niepotrzebnie nadwyrężał swoje struny głosowe. Wszystko co mówił miałam przecie przed oczami — kanciastość ruchów, których bujna, szeroka swoboda nieodłączna od trudzenia się w ziemi zdawała się spętana w międzymaszynowej ciasnocie, nieporadność zgrubiałych od wideł palców, wielkie skupienie marszczonego w wysiłku myśli czoła, nagłą łunę zawstydzenia, gdy jednak znowu trzeba było spytać instruktorki. I nagle, z ogromną wyrazistością ujrzałam stromą ścieżkę przeobrażeń i zmian wewnętrznych, ścieżkę, jaką szła każda z tych młodziutkich dziewcząt od chwili, gdy zamieniła gliniane klepisko rodzinnej zagrody na salonowy parkiet przędzalni. To przejście nie było tylko zmianą jednej pracy na drugą. Sięgało daleko w głąb zakorzenionych pojęć i wyobrażeń, przenosiło w inny świat i wymagało przystosowania się doń, otwierało dalekie, dalekie perspektywy.

Myślałam jeszcze o tym, siedząc w cichym pokoju nieopodal przędzalni, gdy weszły jedna za drugą i trącając się leciutko łokciami stanęły w słońcu, pod ścianą. Wszystkie cztery miały na włosach i spódnicach omotliwe, siwe nitki przędzy, które nagle rozdźwięczały się migotliwie w złocistym blasku promieni. I mimo woli wyobraziłam sobie, jak niedorostkami jeszcze będąc, gnały gdzieś gęsi przez ściernisko, a babie lato wczepiało im się w rozwichrzone kosmyki i oplątywało bose, opalone nogi.

KAZIA Błaszczyk, Janka Fornalska — jednakie dzieciństwo, podobne losy. Obie z Dąbrowy nad Czarną, prawie w równych latach, od małego przywykłe do ciężkiej pracy. Powiedzieć coś o sobie? O, to niełatwa sprawa... Zachęcają się wzrokiem, rumienią i:

— W lutym — mówi naraz prędko Janka — zarobiłam 600 złotych. I do domu też dałam...

— A ja — wpada jej w słowo Kazia — u mnie też już będzie lepiej, bo w tym miesiącu nie ma przestojów. A jakie tu u nas podłogi, to pani sama widziała...

— A światło! Takiego chyba nigdzie w świecie nie ma — wtrąca nieśmiało trzecia dziewczyna.

Elżbieta Kotas i Zośka Robert są z Piotrkowa. Ale, choć środowisko trochę inne, bieg życia podobny: od małego praca, ciężka bieda w domu, ukończonych parę oddziałów powszechniaka i nie bardzo wiadomo co dalej?

— A teraz, to my pokończyli kursy i z każdym dniem człowiek lepiej włożony do maszyny — zamyka Elżbieta krótką opowieść swego młodziutkiego życia.

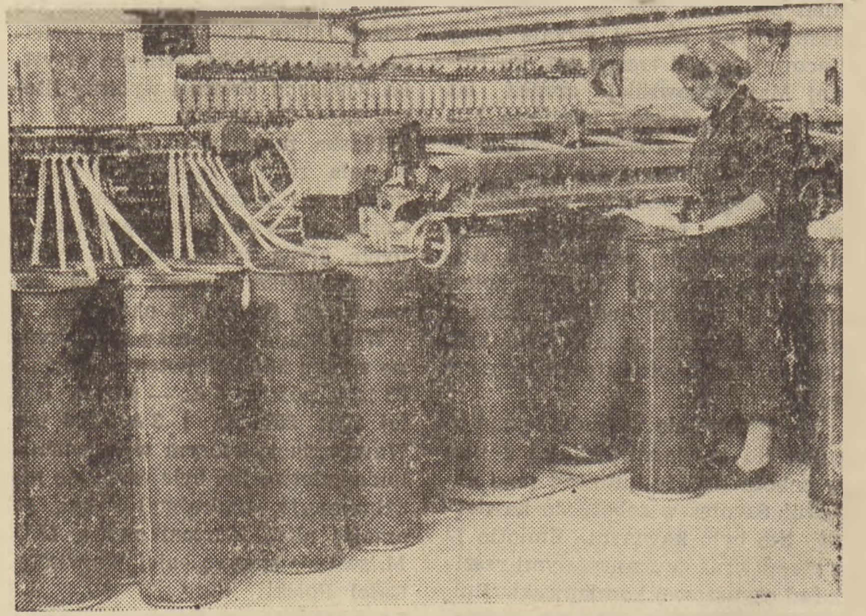
Oj, ten Kombinat! Co za śmieszne rzeczy w nim się dzieją. Na przykład nie ma tu wcale przodowników pracy. Nie ma przodowników? Nie ma. Dopiero się wykluwają. Od marca we wszystkich działach zaczęto stosować system pracy akordowej — świeży element musiał do tego czasu nieco okrzepnąć — i dopiero teraz co zdolniejsze jednostki powiększą liczbę przodowników pracy. Lada dzień też — a może nawet już, w chwili, gdy to piszę — produkcja ruszy na trzy zmiany.

A pion techniczny? 60 procent ludzi pochodzi tu również z elementu miejscowego, z prostych robotników, którzy chrzest bojowy przeszli podczas montażu. Prowadzone przez dyplomantów kursy dokształcające dopomagają im w pokonywaniu trudnych zadań, które stawia przed nimi każdy dzień. Słabi są jeszcze pod względem organizacji pracy, wiele mają niedociągnięć, ale uparcie wgryzają się w zagadnienia i nieustępliwie prą naprzód. Z surowca wyrastają kierownicy, instruktorzy, majstrowie, z surowca wykuwa się przyszłych przodowników pracy. Razem z nimi zaś rośnie Kombinat — rośnie wzdłuż, wszerz i wzwyż, rozsiadając się na fabrycznym terenie coraz potężniejszym kompleksem budynków.

Inwestycje w Zakładach rozłożone są na przeciąg Planu 6-letniego, ale załoga, jak ostro zaczęła, tak i jedzie dalej. Na rok bieżący zaplanowali też sobie tęgi kęs roboty: prace wykończeniowe przy przędzalni, magazynach bawełny i produkcji gotowej, zbiornikach wodnych, stacji pomp, oraz budynków pod stację wysokiego napięcia. Jednocześnie rozpoczęto roboty budowlane przy budynku remizy strażackiej i centralnych warsztatach remontowych.

No, a o najważniejszym była bym zapomniała i wszyscy by się poobrażali. Bo o parkiecie i jarzeniowym świetle już było, a Piotrkowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego mają jeszcze coś, z czego są niezmiernie dumne: oto po pierwsze posiadają potężne urządzenia klimatyzacyjne (konstrukcji radzieckiej), które utrzymują w halach odpowiednią wilgotność i czystość powietrza, zapewniając zdrowe warunki pracy i wysoką jakość przędzy, a po drugie mają najnowocześniejsze maszyny, między innymi zgrzeblarki i dwustronne czesarki, nieznane dotychczas w naszym przemyśle bawełnianym. Więc niech tylko rozkręcą się na dobre, to ho, ho... Nic więcej nie chcieli powiedzieć.

Słońce przeważyło się już przez środek nieba i zapalało właś[illegible]



P.Z.P.B. w Piotrkowie. Łączniarki

korne iskierki w ogromnych oknach przędzalnianych hal, gdy znalazłam się z powrotem przed bramą. Franciszek stał oparty o słup i z lubością wygrzewał stare kości:

— Aha — mruknął — no i co? Fabryka, jak się patrzy? A Zośkęście widzieli? Przy maszynie stoi... — pokiwał głową i dodał mrużąc w słońcu oczy — a tak mi się, wiecie, zda, że to dopiero wczoraj, jak tu gęsi pasała...

Wanda Pieńkowska

M. D. M.

(reportaż poetycki)

Świt

Oto lipiec idzie ku miastu
Z pierwszą chmurką oblaną różem.
Świt.
Tu cisza jest hukiem wygasłym
I opadłym, uśpionym kurzem.
Leżą taczki w zadumie, a dźwigi,
Dinosaury z żelaza i gumy
Po dniu łowów, po dobach fatygi
Dziś jak człowiek stanęły dumne.
Nowy zegar czas mierzy nowy,
On, jak serce, bić będzie do śmierci,
Gdy do niego uniosą się głowy
On nam dzień wydzwoni piękniejszy.
Ciche domy jak wielkie okręty
Słońce rade witają bielą,
Gdy promienie biegają po piętrach,
Kiedy złotem na ścianach się ścielą
I na oknach — na szklanych klawiszach
Gra błysk światła jak ręka pianisty,
Brzmi muzyka, choć wiesz, że jest cisza,
Ton rozbrzmiewa potężny i czysty.
Kropi deszcz i dzwoni po rynnach,
Nowy plac przepaja swym szeptem.
Widzisz jasno: epoka już inna,
Jakże inna niż była przed tym.
Tylko deszcz taki sam dziś dźwięczy,
Ale bardziej szczęśliwy lipiec,
Patrzysz, patrzysz i czujesz jak w serce
Radość ci się jak kruszec sypie.

Dzień

Na rusztowaniach ruch, na rusztowaniach warkot,
Dźwięczą kamienie pod młotem i dłutem,
Cement się leje z gardeł betoniarkom
A winda śpiewa na tę samą nutę.
Szczęk — zgrzyt — łoskot — klekot,
Świst — pisk — rumor — huk,
Płynie, płynie cement brudno-szarą rzeką,
Tętni, tętni tupot robociarskich nóg.
Liny wiszą z bloków jak ogromne wędki,
Aby chwycić belkę niby rybę z wody,
Prędko... jeszcze prędzej! Prędko, prędko, prędko!...
Z dala biją głucho pneumatyczne młoty.
Żelazo i beton, piasek i drzewo,
Szkło i piaskowiec, mosiądz i żwir,
Wszystko dziś w ręku człowieka śpiewa:
— Pokój, Peace, Pace, Pax, Frieden, Mir!
Wysoko głowy, wysoko dłonie, wysoko domy, wysoko myśl!
Niech rośnie szczęście jak gmachów piętra,
Niech czas się zbliży, który ma przyjść!
Szybciej koledzy! Szybciej dziewczęta!...

Pod niebem obręcze balustrad dach okalają prosty
Na ziemi jońskie kolumny mocno strop podparły.
Wczoraj był kurz i beton — dzisiaj drzewa wyrosły
Stoją domy — olbrzymy i drzewa — zielone karły.
Tu widzisz człowieku, jak brat twój ściga się z życiem,
Jak wielu dobrej sprawie służy najlepiej jak umie.
Spójrz z góry! Szyny leżą, jak cienkie, srebrne nici,
Kiedy po placu wzrokiem w zachwycie niemym suniesz.
I mniej zazdrościsz Florencji, mniej Paryżowi Łuku,
Gdy stoisz, z góry wpatrzony w mrowie ofiarnych rąk.
Gdy patrzysz pochylony nad mozaikowym brukiem
I czytasz z nowej dzielnicy jakby z uczonych ksiąg.
Zapomnisz miasto shańbione, ruiny dawnych uliczek,
Po których kiedyś deptał w pogorzelisku wróg.
Wpatrzony w epoki nowej nieznane ci dotąd oblicze
Widzisz jak plac się zamienia w jeden tryumfu łuk.

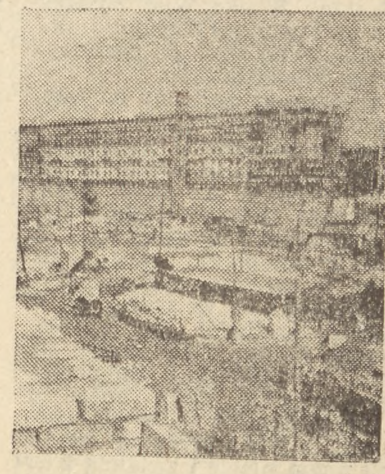
Wieczór

Reflektory zimne jak ryby
Opierają światła na tynkach.
W oknach martwych blask leży na szybach —
Błyszczą ciepło twe usta pod szminką.
A latarnie jeszcze ciemne jak głębia,
W kloszach jeszcze nie dojrzały żarówki.
Pod nogami układna ziemia
Nasze kroki przyjmuje ufnie.
Popatrz miła, wieczór i pary
Żeglujące po nowej dzielnicy.
Jak kajaki wśród nenufarów,
Płyną ludzie zatoką ulicy.
Drzewa szumią łagodnie i świeżo,
Znowu spokój po szczęku żelastw.
Pomyśl, miła, już wkrótce uderzy
Zegar, który czas miasta rozdzieli.
Oto los nas rzucił w epokę,
W której chwalić możemy piękno,
Sycić ucho melodią i oko
Na kształt piękny radośnie odemknąć.
Idźmy dalej, przed nami inni,
Poza nami sznury przechodniów,
Niechaj miasto dzisiaj nas przyjmie,
Tak jak myśmy tęsknili doń co dnia.
W sieć twych włosów schwyciłaś światło,
W rytm twych kroków kołyszą się drzewa.
Jakże tutaj radosnym być łatwo,
Jakże łatwo tu radość wyśpiewać.
Ale jeszcze nim miną nas gmachy
Wspomnij, miła, choć tylko przez chwilę
Tych, co z trudem pokładli te dachy,
By nam wieczór dzisiejszy umilić.
Stukiem nóżek na flizach podziękuj
I uśmiechem posłanym w ciemność.
Jak ja wierszem dziękuję rękom,
Dziękuj, miła, dzisiaj wraz ze mną...

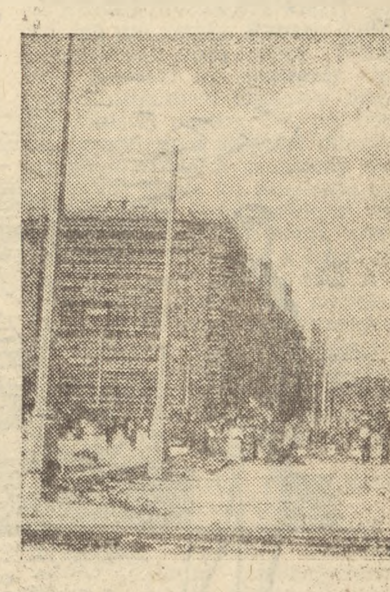
Noc

Noc.
Milczenie.
Niebo jak pułkownik.
Trzy gwiazdki widzę i dwa paski chmur,
Domy się wydają podobne warowni,
Spokojne i pewne jak forteczny mur.
A księżyc — złoty medal dany przodownikom
Tuż nad placem poważnie i dostojnie zwisł.
Nieboskłon skrzyć zaczyna jak nabity miką,
W którym gwiezdne złoto rozrzucone tkwi.
Nagle... księżyc opadł?
Nic!
To błyska lampa
I błękit acetylenu rzuca blask na plac,
Gdzieś dalej karburator wystrzelał jak szampan,
Niby toast po którym wzlecą setki rac.
To nocna zmiana przybyła by walczyć o termin,
Hydrant tryska deszczem na gałęzie drzew.
Tak w twardym trudzie wykuwa się wielkość
Na przekór przeciwnościom i niechęci wbrew.
A gwiazdy są już wszystkie jak perły dziewczyny,
Którą na ciągniku przywiezie tu brzask
I tak bez patosu rosną wielkie czyny,
Tak się iści piękno oglądane w snach.
Noc głośno rozśpiewana terkotem wiertarek,
Hukiem Dieslów, szlifierek i tętentem serc.
Jeszcze kilka godzin — tylko godzin parę,
A noc się kryje nowym, jasnym dniem.
Więc żegnam złoty księżyc nad słupami latarń,
Dwa zegary dostojne na wzniesieniu wież...
W noc tę tak pięknego dla Warszawy lata
Piszę jej w pamiętnik sławę i mój wiersz.

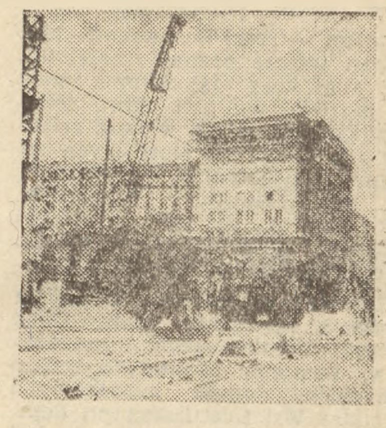
Marek Antoni WASILEWSKI



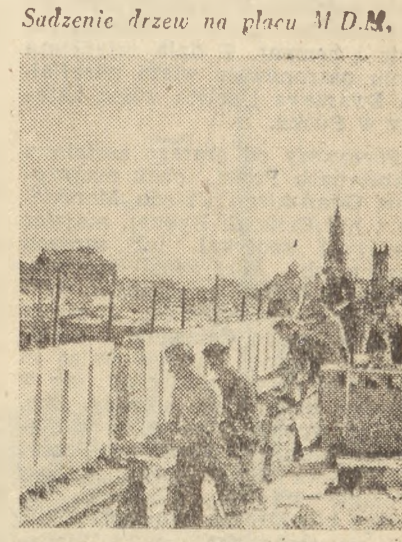
Widok placu M.D.M. w końcu kwietnia



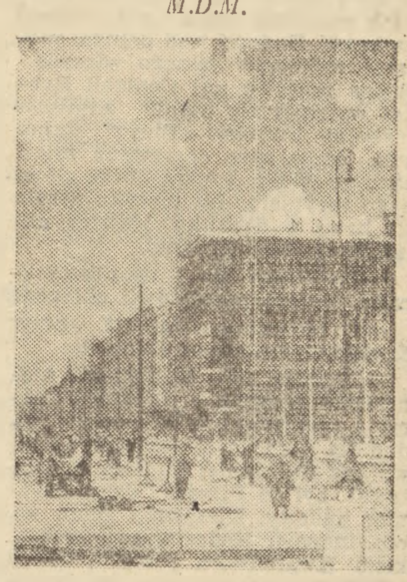
Plac M.D.M. — roboty wykończeniowe



Sadzenie drzew na placu M.D.M.



Uczniowie Technikum Kamieniarskiego przy montażu attyki na M.D.M.



Plac M.D.M. — roboty wykończeniowe

wszystkie zdjęcia C.A.F.

Wanda CHYLICKA

SALUT

ZE stacji Wielka Wieś Zbyszek z głównym majstrem Borowskim skierowali kroki do portu rybackiego Władysławowo.

— Budowy prowadzimy na terenie portu — rzekł majster.

Chłopak uśmiechnął się grzecznie; nie wiedział, co mógłby dodać do słów majstra, a ostry wiatr tłumił chęć rozmowy. Szedł, dorównując kroku Borowskiemu, z wyprostowaną głową, choć nagłe skurcze zmarzniętej szyi zmuszały go niekiedy do wciągania jej w kołnierz. Rozglądał się wokoło. Horyzont, bardzo bliski, stykał się ciemną płaszczyzną z zimno-ołowianym kręgiem wody, opasując ląd niby dekoracja widownię, pełną ludzi; z jasną sylwetką statku na ciemnym niebie i girlandą białych mew zdawał się nowicjuszowi być tylko tłem dla bujnego życia rozległych równin nadbrzeżnych. Zwierzył się z wrażenia majstrowi.



— Ho! — rzekł Borowski. — Musi pan jeszcze poznać morze. Widać stąd krąg falochronu, nie? Ta martwa, jak pan mówi, dekoracyjka, wgryza się w nasz żelbeton nie gorzej od sfory złych tygrysów, a podstępnie, a grymaśnie, a nieoczekiwanie... drapieżnik. Choć czasem... czasem... z jakiegoś kaprysu... sprzymierzeniec. Ale ludzie zawsze góra, jak pan widzi.

Równina przymorska wyglądała zasobnie. Tętniło tu życie. Obok fabryki mączki rybnej, magazynów, kamienic bogatszych rodzin rybackich, domów mieszkalnych Wielkiej Wsi i letniskowych domków Hallerowa, — przecinała ląd linia kolejowa z odgałęzieniem ku budowie w porcie, dowożącym żwir i cement. Z dala osiadłemu życiu patronowały wieża parafialna Swarzewa i ścięta wieża katedry w Pucku.

Począwszy od szarego sześcianu Kapitanatu Portu, obok magazynów Gdańskiego Urzędu Morskiego i hal Centrali Rybnej, majster Borowski spotykał już samych znajomych. Pozdrawiali się wzajemnie z ludźmi, pchającymi wózki kolejki wąskotorowej, ze strażnikami Urzędu Celnego i z robotnikami własnej budowy. Świat tu był zamknięty i serdeczny, jak w faktorii na dalekiej północy. Zbyszek przypomniał sobie, że w biurach Oddziału Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlanego „Roboty Morskie" nazwano z powodu ostrego klimatu miejscowość, w której się teraz znajdował „Władywostokiem". Wspomniał też jednego z referentów, powracającego z inspekcji w owym „Władywostoku"; przez dwa tygodnie nosił szyję owiniętą szalikiem i cierpiał na katar. Budowy nad pełnym morzem wymagały silnego zdrowia.

Spoza masywu hal Centrali Rybnej wyłoniły się baraki administracyjne budowy. „Biuro" stanowiła ciepła izba, ogrzewana żelaznym piecykiem i mała klitka głównego inżyniera. Na piecyku grzała się kawa w dzbanku. Majster nalał zaraz dwie filiżanki.

— Napijemy się i do roboty — rzekł. Potem przedstawił chłopca:

— Technik-praktykant, przydzielony nam przez Oddział.

— Przyda się! — dorzucił niepozorny człowiek o poczciwej twarzy i roześmiał się serdecznie, widać dla dodania odwagi przybyszowi. Jak się później Zbyszek zorientował, był to Pleszka, drugi inżynier budowy. Kierownik grupy robót, inżynier Kędra wraz z technikiem Kwapińskim i reszta załogi rozsypani już byli po miejscach pracy. P.P.B. „Roboty Morskie" prowadziło na terenie portu rybackiego budowę falochronu oraz nabrzeża uszczelniającego falochron.

—Majster Borowski z nowym praktykantem technicznym przeszli pomostem rybackim ku robotom betonowym nabrzeża. Po drodze majster wyjaśniał:

— Ostatni odcinek falochronu, aż do wieżyczki mieliśmy według harmonogramu ukończyć do 15 grudnia tego roku. Ale jeśli nie ukończymy o miesiąc wcześniej — falochronu nie będzie. Sztormy zimowe rozniosą szalunki i zbrojenia zanim się zabetonuje, wymyją beton przed stwardnieniem. To robota w morzu. Nie było się jeszcze przy takiej? — zaśmiał się do praktykanta.

— Nie — przyznał chłopak. Ale nie myślał o budowie. Spozierał wprawdzie na szarą masę wody, podpełzającą leniwie pod betonową ściankę i próbującą wtargnąć w szalunki niewykończonego odcinka robót. Widział kutry, rozhybotane na cumach i usłyszał, jak akompaniament własnych, nieobecnych tu myśli, głos majstra: „Stan wody wysoki. Mam tu miarę na tym kutrze Wła 3. Znów coś będzie!" Ale wszystkie te sprawy nie dotyczyły go osobiście. Były tłem, na którym dominował kto inny: członkowie rodziny, pozostałej w Gdańsku, przede wszystkim zaś własna, miła, nieco leniwa postać pełnego wdzięku blondynka z nalotem kilkunastu piegów na policzkach, oderwanego od pnia rodzinnego! Pnia, mocnego, jak dąb, a rozgałęzionego szeroko w odrośla subtelne niby koronkowe szczyty katedr gotyckich. Morze uderzało rytmicznie w betonowe ściany i tylko wprawne ucho majstra wyróżniało nierówności rytmu, budzące podejrzenie, że „znów coś będzie". Praktykant zaś wsłuchał się w nierzeczywistą tutaj, ale wtórującą dotąd stale jego życiu z rodziną grę na fortepianie. Grała Jolanta, jedynaczka wśród „czterech budrysów", jak braci i ojca nazywała matka. Słuchał nerwowej i kapryśnej, jak sama Jola, paplaniny muzycznej i teraz zatęsknił nawet do niej.

KĘDRA, główny inżynier, mocny, krępy i ruchliwy, wołał na betoniarzy:

— Otwór w szalunku! A tam drugi. Woda się podniosła. Zamówić zaraz u cieśli wtyczki!

Przez drobną nieszczelność w szalowaniu jeszcze nie zabetonowanej skrzyni — elementu falochronu — woda wdzierała się do wnętrza.

Nawierzchnią, po wąskich szynach, nadchodziły właśnie ciągnione przez lokomotywkę wywrotki z płynnym betonem.

— Jak idzie? — wołał Borowski do grupy cieśli. Potem zatrzymał się przy inżynierze, który gospodarował wśród betoniarzy, stojąc w gumowych butach w płynnej mazi i ubijając ją od spodu wibratorem o elektrycznym napędzie.

— O, tak, patrzajcie, Iliński, nie trzymać za długo wibratora w tym samym miejscu!

— Borowski! — wyciągnął do majstra rękę. — Idziemy na końcowy odcinek.

— Przywiozłem praktykanta, panie inżynierze...

— Zabierzemy go z sobą.

Praktykant, idąc z tyłu, zapomniany, był znowu myślami w willi we Wrzeszczu, przypominającej atmosferą podmiejską willę warszawską, gdzie się urodził i wszystkie inne przejściowe miejsca pobytu, gdziekolwiek los go rzucał wespół z bliskimi. „Atmosferę domową", ten ekstrakt znaczenia rodziny, znaczenia opartego zarówno o chlubne tradycje przodków i krewniaków: profesorów, przemysłowców, ziemian, jak o niecodzienne wartości „czterech budrysów" oraz Jolanty — kultywowała przede wszystkim matka. Jeżeli któryś z braci pozwolił sobie czasem na dyskretny żarcik, podający w wątpliwość rodzinne walory, czynił to w głębokim przeświadczeniu, że mają one niezrównanego strażnika, rodzaj lorda tajnej pieczęci w osobie matki. Zbyszek pamiętał z dzieciństwa nieliczne, ale utrzymane w podniosłym nastroju, zebrania rodzeństwa u stóp matki, dającej pouczenia. Sens ich sprowadzał się do dumnego i obowiązującego stwierdzenia: Bóg was obdarzył wyjątkowo, jesteście powołani do specjalnych zadań. Stanowili elitę z najróżniejszych powodów. Byli na tyle współcześni, by nie chlubić się wyraźnie arystokratycznym pochodzeniem matki, choć świadomość ta podniecała mile, natomiast mieli i tak aż nadto pobudek dobrego samopoczucia w naukowych osiągnięciach dziadka, przeszłej karierze ojca czy zdobyczach materialnych innych członków rodziny. Jakikolwiek jest powód do dumy — duma jest ta sama. Dumni zaś byli przede wszystkim z siebie samych. W azylu domowym czuli swe wyróżnienie i wracali tam zawsze jak w mury twierdzy, bo mimo życiowych zawodów, tam niezmiennie przysługiwało im miano bohaterów. „Tym razem jednak" — stwierdził Zbyszek — „nie prędko przyjdzie mi wrócić z wygnania..."

— Uwaga! — krzyknął majster, lecz zadumany praktykant wpadł już w otwór studzienki w nawierzchni falochronu. — Szczęście, że wypełniona kamieniami. Nie bywało się jeszcze na morskich budowach? — podał mu rękę, śmiejąc się niefrasobliwie.

Stanęli teraz w miejscu, gdzie płyta nabrzeża ucinała się nagle na skutek wyrwy, spowodowanej zniszczeniami wojennymi. Tę właśnie wyrwę, przez którą woda wdzierała się do portu, należało zamknąć przed sezonem najgroźniejszych sztormów.

— Retzau! — krzyczał inżynier ku grupie transportowej. Wysoki chłop nordyckiego typu odwrócił się służbiście i szedł ku nim. — To „dusza człowiek" — wyjaśnił inżynier praktykantowi. — Brygadzista, używamy jego pomocy w każdej potrzebie.

„Dusza człowiek" — zaobserwował praktykant — miał oczy jasne i niby przejrzyste a nieprzeniknione. Przyniósł nieużytki metalowe i zaczął od wprowadzania zwierzchnika w swój plan zużytkowania ich przy nitowaniu pali.

— Nieźle — zgodził się inżynier. — Ale teraz, słuchajcie, Retzau! Dziś kończycie drugą dylatację nabrzeża uszczelniającego. Od jutra wszyscy wasi ludzie przechodzą na falochron. Zabijamy ostatnie pale.

Szkwalisty bryzg z nad ściany falochronu pokropił wszystkich czterech.

— Coś się zbiera — powtórzył Borowski, jak poprzednio. — Nie dobrze... — mruknął i wszyscy wpatrzyli się w wodę. Majster nieoczekiwanie poderwał się, dotknął daszka czapki żołnierskim ruchem, wskazał inżynierowi kierunek wiatru i czekał w gotowości.

— Tak — zgodził się inżynier. — Biegnijcie!

— Zbierać szyny, narzędzia, kable, materiał! — krzyczał Borowski, mijając ludzi.

Praktykant, wciągnięty w wir przedsztormowego pogotowia, przenosił, jak inni, żelbetowe płytki, zbijał z tratwy materiał drzewny, wykonywał czyjeś polecenia. Trwało to długo, bo wreszcie mdłości z głodu i zmęczenia rzuciły go bez sił przed jedną ze studzienek nabrzeża. W studzience bulgotały ciężkie kamienie. Praktykant uskoczył, bo z bryzgiem wody trzasnęła o płytę wykrąglona bryła, lecz uskoczywszy pod ścianę, wpadł w wodę, przelewającą się już za falochron. Stał mokry i zmarznięty i dałby wiele, by móc wycofać się stąd z honorem.

— Dawno i przeszła obiadowa pora — usłyszał wileński akcent w pobliżu. — Ubranie mokre. Zdrowiem tu przyjdzie nałożyć. Chodźta brachy!

— Z mojej ty brygady, czy nie?! — warknął rudy robotnik o wielkiej postaci, obślizgłej od wody jak ciało ryby. — Robotę wykończysz, pójdziesz na obiad!

Praktykant spojrzał ze zrozumieniem na ściągniętą gniewem twarz zbuntowanego, potem wzrok jego natknął się na Retzau'a. Musiał przysłuchiwać się kłótni, bo w wyrazie jego jasnych a nieprzeniknionych źrenic błyszczała ciekawość. Potem utkwił badawczy wzrok w bulgocące morze i stał bez ruchu.

Pod bryzgami wody przemykał się Borowski, obarczony zwojem stalowej liny. Retzau poderwał się i biegł za nim.

Wiatr północno-zachodni wciąż jeszcze nabierał siły i walił masami wody o falochron. Praktykant skulił się przed wzbitą wysoko nad ścianą falochronu ciemną ścianą wody. Padłszy na płytę nabrzeża wczepił się rękami w krawędź studzienki. Ogłuszony hukiem czuł ciężar martwej ciszy, odbierającej życie. Ciężar słony i letniawy tłoczył oczy, uszy i otwarte w skurczu usta. Ustąpił nagle jak przyszedł. Praktykant, jeszcze wczepiony w brzeg studzienki, ujrzał w innym miejscu ścianę wody, której bryzgi sięgały wysoko ponad wieżę kafarową. Zerwał się i jął uciekać za innymi. Ludzie, przemoknięci do nitki, biegli do baraków po ubrania ochronne. Praktykant przebrał się również, ale nie doszedł już na nabrzeże. Wszedł w pustą budkę strażnika ochrony celnej i usiadł tam, bo nie miał już siły. Woda, która wdarła się do portu, unosiła dźwig, a ludzie z Kapitanatu zabiegali mu drogę na holowniku. Słony deszcz morskich bryzgów siekł aż do budki, gdzie się schronił praktykant. W chaosie, pogrążającym się w półmrok widział kontury kafara i jego wieżę w nienormalnej ukośnej pozycji. Jaśniejsze plamy, ruchome jak ćmy, to były żółte kutry rybaków, tańczące na linach. Ludzie z nabrzeża bronili kafar przed zmyciem, wiążąc go stalowymi linami, jak liliputi wielkie ciało Guliwera. Na wprost ich wysiłkom wyrosła nagle wysoka ściana wodna. Praktykant wybiegł z budki, bo choć huk głuszył głosy, zdawało mu się, że słyszy ludzki krzyk. Kafar zachwiał się „Runie!"... Nie runął jednak. Zatrzymał się na resztkach rusztowania. A ludzie?.. Dwu odlepiało się zwolna od pali, wmocowanych w studzienki, trzeci wstawał z płyty nabrzeża, czwarty... ów wileński wielkolud, ciesielski brygadzista... tego woda musiała znieść, a teraz odpływem złożyła z powrotem na płycie nabrzeża...

— Piąty... szósty... — badał praktykant. Gdy dobiegł, ludzie zdążyli się już policzyć. Nikogo nie brakło, a tylko jeden rozkrwawił twarz o kant kafara.



NOC była dla praktykanta trudniejsza do zniesienia od trudów dnia. Leżał na twardej kanapce w pokoju majstra Borowskiego i odczuwał wciąż pękanie stalowych lin od naporu wody, gięcie się szyn kolejowych pod kafarem i ciężar kamieni, które wyniesione z dna szaleństwem wody, trzaskały o płytę nabrzeża. Najgorszy był jednak bezużyteczny bezwład ciała. Bo majster Borowski i inżynierowie krążyli po budowie całą noc, a reszta załogi pełniła kolejną straż przy sprzęcie, szalunkach i zbrojeniach.

Drzwi otwarto, wszedł Borowski z Kędrą.

— No, pora rozglądnąć się za jedzeniem, prawda, panie inżynierze — rzekł majster i zapalił świeczkę.

Kroili grube kromki chleba i równie grube kawały sera i kiełbasy.

— Od świtu — planował inżynier — ludzie będą wyłapywać materiały, które zwróci morze. Trzeba będzie zadzwonić do Oddziału po ciężarówkę. Pozwozi nam materiał do punktów stałych, a wracając ludzie z Oddziału zawiozą do warsztatów w Gdańsku złamany sworzeń kafara. A teraz jednemu z nas należy się trochę pospać.

— Odstępuje pierwszeństwo panu inżynierowi — rzekł Borowski — ze mnie chłop twardy.

— A ja nie twardy? Nie od dziś wojujemy razem, sprawiedliwie musi być. Ciągnij pan!

Majster wyciągnął pusty koniec chustki.

— Widzi pan inżynier...

Gdy wyszli, Zbyszek tym bardziej nie mógł zasnąć. Do nadmiernego zmęczenia dołączyło się podniecające zdumienie wszystkim, co się działo w tym odciętym od świata zakątku. Kim byli ci ludzie?... Dla kogo i czego tak narażali zdrowie i życie?

Ułożył się, jak mógł najwygodniej na twardej kanapce i znów wyobraźnia poniosła go po odpowiedź w rodzinne grono. Miał ich obraz pod powiekami. Jerzyk, marszcząc swe kopernikowskie czoło — którego niskość podkreślało jeszcze uczesanie — zastanawia się nad ludźmi, budującymi falochron. W mrówczym trudzie krzątają się „około bardzo wiela"... hm... są z tym nawet szczęśliwi... Następują dygresje na temat pojęcia szczęścia. W konkluzji Jerzyk jednak stwierdza, że myślenie tylko daje prawdziwy smak życia. Andrzej sponad foliałów przyniesionych z biblioteki dorzuca cierpko pesymistyczną uwagę o nonsensie budowania wbrew naturze i czyta dalej. Jola chwilami słucha wydawszy wargi, chwilami głuszy rozmowę hałaśliwymi fragmentami „swego" Wagnera albo akompaniuje nastrojowi pasażami własnej kompilacji. Bardziej zrozumiały jest ojciec. Bada wprawdzie, mówiąc, efekt swej urodziwej postaci w zwierciadle nad kanapą, gdzie spoczywa matka — temat rozmowy nie jest tak ważny, by skupić na nim całą uwagę — ale ocenia dosadnie i konkretnie, z dowcipnym błyskiem aksamitnych oczu:

— Ten inżynierek na budowie? Jak? Kędra?... Niech mu będzie Kędra. Taki ciołek, mój drogi, z nadmiarem fizycznej energii, musi się przecież jakoś wyżyć. Buduje, bo coby tam robił na odludziu? Kobiety kaszubskie...

— Nie trzeba... nie trzeba... — szepce matka. — C'est trop fort...

Ale wzrok jej znad cerowanej precyzyjnie przedwojennej marynarki — jednej z tych, w których ojciec wciąż jeszcze wyglądał tak nobliwie — spoczywa na nim w lojalnym przymierzu.

— Moi drodzy... moi bardzo drodzy... — dorzuca — podział zajęć i uzdolnień między ludźmi jest konieczny. Taki jest boski układ świata.

— A nam taki układ raczej dogadza — Jerzyk unosi brwi komicznym gestem. Uspakaja się na dostojne skinienie matki. Twarz kamienieje mu sztuczną powagą.

RYBAKÓW

— Mama ma zawsze rację — stwierdza rozsądnie. Szanuje zdanie matki wbrew własnemu. Matka to dla niego — instytucja. „A my właśnie opieramy nasz byt na instytucjach" — dodaje szeptem, już tylko dla Zbyszka.

Zbyszek tylko słucha, a to martwi matkę. Może i słusznie Jola, dziewczyna, którą ponoszą nieznane jej samej porywy fantazji, uważa go za najmniej uzdolnionego z całego rodzeństwa?

Andrzej, jak zwykle, wprowadza korektę w sposób myślenia Jerzyka i uzasadnia historiozoficznie ich prawo do wyróżnień, ich obowiązek trwania. „Trwania przy czym?"



— myśli Zbyszek, ale nie wiele już rozumie, bo usypia. W omroczeniu sennym widzi nad sobą pochyloną głowę Andrzeja. Długa, szara twarz z wąsko osadzonymi oczyma krótkowidza, w której oczy błyszcza teraz blaskiem pełnym życia. Wyciągnięty palec wskazuje na brzeg morski i nieruchomą sylwetkę Retzau'a. Retzau odwraca się. Cała rodzina trwa teraz wpatrzona w bladą twarz o rdzawym zaroście i wodnistych oczach, skrzywioną i drgającą śmiechem. Retzau drwi z wysiłków załogi, ratującej sprzęt budowy? Bada ich wytrzymałość? Komu służy i czego pragnie?...

— Popatrz — wyjaśnia Andrzej. — Barometr historycznej pogody. Człowiek, który szuka siły i racji tam gdzie siła. Popchnij go ku nam! — uśmiech gaśnie na wąskich wargach, które drżą jeszcze w podnieceniu...

Zbudziwszy się, Zbyszek dostrzegł, że jest już jasno. Przy stole siedział Kędra, rześwy, jak letni ranek i Borowski, niestrudzony kawalerzysta.

— No, panie inżynierze, mamy szczęście! Kafar był na mgnienie oka przed zmyciem!

— A wytłumacz się potem inspekcji, że sprowadzanie go co noc na brzeg to za duża strata roboczogodzin. Bez ryzyka nie może być roboty w morzu!

— Jak wygranej bitwy! Teraz Milgiewicz już tam się kręci ze swoimi. Ciężarówka także powinna nadejść lada moment. Przerzuci się wszystkich ludzi do łapania w morzu materiałów. A co z naszym nowym nieboraczkiem, czas i jego wciągnąć do roboty — majster zajrzał w mrugające resztkami snu oczy praktykanta.

— Co do mnie — zerwał się chłopak - chciałbym zaznaczyć wyraźnie swe stanowisko: jestem katolikiem i dzisiejszy dzień niedzielny zamierzam zacząć od uczestniczenia we mszy św!

— Takiś rygorystyczny, młody człowieku? Budowa jest w wirze posztormowym i sam Bóg, jeśli jest, to rozumie. Zresztą tu większość załogi, z wyjątkiem dwu nieokrzesanych gburów — mrugnął ku Borowskiemu — zaczęła dzień tak właśnie, jak pan sobie życzy. Milgiewicz na przykład miał coś do pomówienia z Najświętszą Panienką ze Swarzewa, bo mu podobno ocaliła życie. Pamięta pan ten moment, jak go zmyło z nabrzeża? Zdążył krzyknąć „Panno Swarzewska!", sam słyszałem i zaraz potem patrzę, on już siedzi za ścianą i otrząsa się z wody. „Ocaliła!" — powiada. Dziś poszedł przed świtem na roraty. Pański starszy kolega, technik Kwapiński, właśnie terkota ze swoim motocyklem, także jeździł do kościoła. Pan będzie trochę spóźniony, ale proszę, proszę... Po powrocie zgłosi się pan do mnie.

W tłocznej nawie kościoła parafialnego, w zaduchu świątecznie wymytych ciał, praktykant czuł się gorzej niż w inne niedziele. O tej mniej więcej porze, wraz z całą rodziną z wyjątkiem przykutej do fotela matki, spełniali regularnie świąteczny obowiązek. Nie uchylali się od tego nigdy. „Nurkujmy w tłok, skoro tak trzeba" — mówił Jerzyk. Potem już zdecydowanie, choć z pewnym niesmakiem, włączali swe głosy w rażący uszy lament tłumu, wdychali mdłe, nagrzane oddechami powietrze. Trwanie przy wierze przodków traktowali jak żołnierz swój rycerski obowiązek. Dziś, stojąc samotnie, odczuwał niesmak innego rodzaju. Gorzki niesmak upokorzenia, po którym nie doznawało się już poczucia wysokiej własnej wartości i pobłażliwości dla świata.

Wizerunek w głównym ołtarzu, otoczonym wotami, niknął zaćmiony obrazem krępego, prostackiego inżyniera, wielkiego, rubasznego cieśli, który przybył tu o świcie, cuchnący wodą morską, pełen zabobonnej wiary. „Mój drogi... mój bardzo drogi... — głos dalekiej matki naprowadzał jak ster wzburzone serce syna — „bądź wyrozumiały. Prostacy mają właściwy sobie sposób rozumienia Boga i nie wymagaj od nich więcej niż dać mogą!" Poczuł się pewniej, choć złość nie wygasała. W powrotnej drodze przybrała na sile wraz z rosnącym pod wpływem ruchu ożywieniem. Do biura praktykant wkroczył pełen wściekłego rozmachu.

— A, pan Zbysiu! — rzekł serdecznie Borowski. — Wygląda jak nastroszony wróbel. Wiatr potargał czuprynę.

— Pomodlił się pan? — dodał Kędra. — No, to wyznaczę panu zadanie. Módl się i pracuj, prawda? Tak mówicie?

Praktykant zgryzł ostre słowa, ale tkwiły jak żwir między zębami.

— Zadanie dla pana mam takie: z odcinka nabrzeża przy lewym pomoście woda zniosła szalunki. Trzeba dać projekt technicznie i organizacyjnie najlepszy naprawienia szkód i ukończenia budowy odcinka do jutrzejszego wieczora.

— Projekt do jutrzejszego wieczora?

— Nie, projekt do piątej rano. Dzień jest przeznaczony na roboty wykonawcze.

— Rozumiem. Noce i niedziele na prace koncepcyjne...

— Tak. Czasem tak trzeba. W Oddziale mieli pana za pomysłowego chłopca.

— O! — uniósł brwi praktykant. Wzrok inżyniera powstrzymał go jednak od dalszych uwag.

— Jadwiniu — klasnął Kędra. — Obiad dla pana technika. Świąteczny! Mocno chłop wygłodniał po sumie. I niechno pan podejdzie do okna... leży tam strzaskana łódź przy pochylni?... co? rozbita onegdaj w nocy... w porcie... w porcie... Projekt powinien już leżeć na moim biurku gdy przyjdę o piątej rano.

Projekt leżał na biurku w oznaczonym czasie i Borowski z inżynierem pochylali nad nim głowy.

— No — majster tarł z frasunkiem czoło — chłopak uczony, nie można powiedzieć, pomysłowy, zdolny rysownik, ale... projekt w naszych warunkach do niczego!

— Otóż to! Nie wykorzystał bloku na pontonie, bo pewnie mu się wydała śmieszna nasza domorosła maszyneria. I zatrudnia przez trzy godziny grupę transportową, tak jakby nie można było zwieźć materiału tą samą ciężarówką, która dopiero w południe wraca do Oddziału...

Retzau wyznaczał już ludzi według wskazówek praktykanta, gdy kroki Kędry i Borowskiego zadudniły na nabrzeżu.

— Panie Retzau! — krzyczeli z daleka. — Trzech ludzi przerzucić do ciężarówki na zwózkę materiału do lewego odcinka. Reszta do betoniarki po cement!

— Ja, panie inżynierze... — zaczął praktykant.

— Wiem... wiem... zaraz porozmawiamy...

Tymczasem jednak brakło czasu na rozmowę. O projekcie nie pamiętano ani w trakcie organizowania robót na lewym odcinku ani podczas bicia pali, choć praktykant przyglądał się bezczynnie, gryząc patyk i odpluwając odpryski z całą energią niewyładowanej wściekłości.

Patrzył na czerwoną z wysiłku twarz krępego inżyniera, gdy wraz z grupą betoniarzy ustawiali zastępczy kafar, stary grat, wymagający i złośliwy. Słuchał wytrwale powtarzanej komendy „Heej, ruup!" i raz nawet zagarnięty przez majstra, włączył swe siły w wykonywane zadanie. Wciąż jednak brakło możliwości wyjaśnienia sprawy niewykorzystanego projektu.

O zmroku dopiero natknął się na Retzau'a.

— Gdzie tak spieszno! — zdecydowanie w głosie młodego technika zatrzymało służbistego brygadzistę.

— A, no... — Retzau kręcił niepewnie daszek czapki.

— Siadaj pan! Zapalimy?

Wsparci o burtę łodzi rybackiej zaciągnęli się dymem.

— Chodzę tak dzisiaj i przyglądam się — zaczął praktykant — jak ci ludzie prowadzą robotę. Wie pan co to jest? bałagan! Bez planu, od wypadku do wypadku, improwizacja, brak jednolitej myśli.

Retzau drgnął i zajrzał uważnie w oczy młodzika.

— Dałem im projekt, o jakim im się nigdy nie śniło i co? Nie zrozumieli! Rutyniarze! Znają swoje zacofane sposoby, używają sprzętu z epoki lodowcowej jakichś składanek własnej konstrukcji. Ten blok do przenoszenia pali, istne dziwo! Wiejski kierat i to z ludzką siłą pociągową. Widział pan kiedy coś takiego?

Twarz Retzau'a, skurczona śmiechem, ożywiła się wyraźnie. Machnął ręką.

— To szkoda, że pan technik nie widział tych, co tu budowali przedtem....

— Jakich?

— A było trochę śmiechu z tego inżyniera przed Kędrą, zanim go nie zamknęli! Ludzi do południa nie zebrałeś na budowę. Co w dzień zatkali, nocą woda wymyła. Prawdziwie to była... polska robota.

— A... pan... zna inną...

— Pewnie.

— To nie stąd pan pochodzi?

— Matka stąd.

— Kędra sam przyznaje, że bez pana pomocy nie dałby tu sobie rady. Nechby pan się zaniedbał, robota im leży na całego, jak poprzednikom... A i tak nie wiadomo co jeszcze z tego wyjdzie, bo patrząc okiem fachowca... dwu groszy nie dam. Transport to nerw budowy i pan świetnie daje sobie rady, słowo daję, tylko pan! — powtarzał z wściekłym uporem, ignorując Kędrę, Borowskiego i tych wszystkich, którzy zignorowali go w wirze roboty.

Oczy Retzau'a błysnęły jak rakiety i zgasły. Zapatrzył się w wodę.

— Co do mnie — rzekł praktykant — jak pan widzi, nie przejmuję się. Ta sprawa nie może być wygrana.

Z nabrzeża wiatr przyniósł głos Augustyna, który z kilkoma jeszcze z transportowej grupy sprzątał przed nocą narzędzia, aby nie porwało ich morze. Zwinąwszy dłoń w trąbkę, krzyczał:

— A kable i szyny przyńdzie zdjonć? Kable i szyny zdjonć?...

— No, panie techniku — mrugnął Retzau — zwijać kable? — śmiał się oczyma i zacierał dłonie.

Praktykant wzruszył ramionami. Wówczas Retzau przyłożył dłoń do ust w odpowiedzi Augustynowi:

— Nie potrzeba. Pan technik mówi, że nie potrzeba!

— Ludziom się należy wypocząć — mruczał, chichocząc porozumiewawczo — No nie, panie techniku? — przytknął palce do daszka czapki i ruszył w kierunku wsi.

Praktykant zdziwiony, obserwował jego drgające śmiechem plecy. Listopadową noc rozświetlał księżyc a blask jego malował na wodzie jasny gościniec do kresu falochronu. Zrzadka tylko pędzona wiatrem lekka chmurka przemykała jak strzęp welonu, nie mącąc blasku. Będzie sztorm czy nie będzie?.., Nim doszedł do willi rybackiej, w której mieszkał, pociemniało. Kłąb sinych chmur omotał blask księżyca a bryzgi fal bielały nad ścianą falochronu. Wahał się chwilę, wkońcu wszedł i zamknął za sobą drzwi kwatery.

O świcie Kędra stał nad rumowiskiem szyn, zgiętych przez napór wody. Oczy miał jakby łzawe w zmęczonej twarzy. Kable i szyny uratowali z Borowskim nocą, słysząc wzmagający się wiatr i zbudzeni przez swój „szósty zmysł", instynkt budowniczych. Nie szło już o nie.

Ale na budowie zabrakło dziś Retzau'a. Kędra bolał nad tą stratą, nie mógł jednak postąpić inaczej, gdyż człowiek ten był odpowiedzialny za zniszczenia. Zaniedbanie się brygadzisty, nieukarane, mogło rozluźnić dyscyplinę całej załogi. Zdjął go zatem ze stanowiska i polecił brygadę jego dotychczasowemu zastępcy, Augustynowi Kreftowi, Retzau zaś nie chciał się podporządkować zarządzeniu.

— Dziwny to człek — żalił się Kędra Kwapińskiemu. — Znów go napadły dyshumory... Pamięta pan, jak przy objęciu przez nas budowy sztorcem nam stawał? Zdemoralizowała go atmosfera w poprzedniej grupie robót. Nie wierzył im, nie wierzył zrazu i nam. Ale stopniowo wyrobił się na doskonałego pracownika z poczuciem odpowiedzialności za budowę. Jednak tkwiła w nim widać wciąż nieufność... Wieki ucisku i germanizacji tutejszej ludności zrobiły swoje... Co go zdemoralizowało znowu? Nie widzę rzeczowego momentu... A szkoda człowieka, bo można powiedzieć: ten miał pasję budowania...

Retzau istotnie musiał mieć pasję budowania, bo choć nie zgłaszał się do pracy, widywano go krążącego z dala około robót, przyglądającego się skrzyniom, zakuwanym w beton, zbrojeniom i palom.

Zaś skrzynie, zaopatrzone w zbrojenia, leżały już w morzu na całym odcinku aż do wieżyczki i nadszedł okres najbardziej uzależnionych od pogody prac betoniarskich.

— Jeszcze tydzień względnej pogody — mruczał technik Kwapiński przy betoniarce, wyrzucającej lawę płynnego betonu na wywrotki. I pędził terkocącą lokomotywkę przez nabrzeże aż do miejsca, gdzie kończyła się płyta, a leżały skrzynie, które po wykończeniu miały się stać równie jak płyta gładkie, twarde i odporne.

— Jeszcze trzy dni... — wzdychał żarliwie Borowski.

Pieszka w biurze liczył i rysował dniem i nocą. Kędra nawet zmizerniał, stał się drażliwy i płonił się jak panna przy drobnych nawet przeszkodach i opóźnieniach toku pracy. Praktykant kręcił się niezbyt potrzebny i tylko czasem ogarniał i jego wir robót, prowadzonych już teraz na trzy zmiany.

Dzień 26 listopada, w którym druga zmiana przy pomocy współzawodniczących w dostarczaniu energii świetlnej miejscowej elektrowni i okrąglutkiego jak dynia księżyca, zalała betonem ostatni odcinek falochronu, ubiła go i zostawiła na łaskę przyrody — przeszedł niby przez nikogo nie zauważony.

— Cicho... — szeptał inżynier — nie kusić złego. Betonowi potrzebne jeszcze do związania się parę dobrych, spokojnych dni.

Do końca miesiąca prowadzono drobniejsze roboty, wciąż obserwując pogodę i dopiero po tygodniu inżynier zawiadomił Oddział o ukończeniu budowy falochronu, na który tam przestano już liczyć.

Choć w ostatnich dniach listopada nastały mocniejsze wiatry, połowy ryb nie ustały. Rybacy łódkowi przemierzali nocą ulice Wielkiej Wsi, a kroki ich rozlegały się wśród uśpionych domostw niby w kamienistej pustce. W milczeniu, bo do milczenia skłaniał monotonny plusk wioseł i szemranie wody, kierowali łodzie ku miejscom, gdzie poprzedniego dnia zawiesili sieci stawne. Gdy księżyc bladł, ustępując miejsca jutrzence a czerń nocy szarzała — zaczynał się ruch w flotylli kutrów „Arki". Raz po raz odrywał się od grupy pojedynczy statek, szybując ku wschodniemu nabrzeżu, gdzie zainstalowano punkt tankowania ropy. Flotylla przygotowywała się do zaplanowanego połowu dorsza na wodach Głębi Gdańskiej.

— Wierzą chyba falochronowi.., — twierdził Borowski.

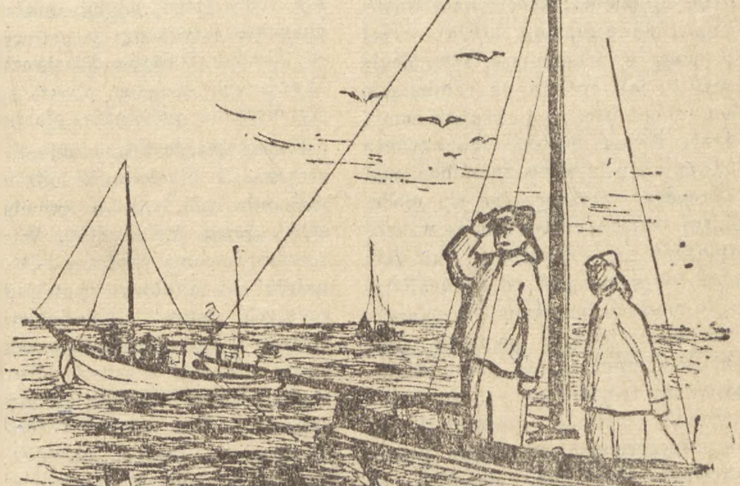
Ale w rzeczywistości rybacy nie dowierzali jednak. Falochron, wbrew wszelkim przewidywaniom, został ustawiony, takiego tempa nie oglądali tu odkąd żyli, ale czy robota będzie trwała?

— To nie jest powiedzone... .

Po długotrwałej ciszy wiatr wzmógł się i zmienił kierunek, a choć nie był to dobry wiatr, większość kutrów zaryzykowała raz jeszcze kurs na bliższe wody. Gdy nazajutrz zadzwoniły na wybrzeżu wojskowym rytmem kroki majstra Borowskiego, usłyszała je mała dziewuszka, wychylona przez ścianę falochronu ku morzu, gdzie wypłynęły kutry. W porcie miejsca po nich były puste, a za bezpieczną ścianą gwałtowny szkwał podnosił wodę w wysokie, pieniste spięcia.

— Uważaj, Marianka, bo cię woda zmyje — rzekł majster — wypatrujesz braci?

— Yhm... Wypatrywała trzech braci z załogi kutra Wła 3. Dwie



małe, zmarznięte pięści Marianki czerwieniały jak raczki na skale falochronu.

— Wracaj — uspokoił ją majster — W morzu bracia poradzą sobie tak jak zawsze, a falochron myśmy dobrze budowali. W porcie rybacy mają zapewnione lądowanie, o brzeg ich nie rzuci.

Nie powiedział oczywiście Mariance, że sam przyszedł tu tak wcześnie pod wpływem niepokoju. Teraz słuchał, jak falochron chodził na palisadzie, a woda rzucała kamieniami w studzienkach.

W ciągu dnia szkwał nabrał siły. Mrok jeszcze nie zapadł, gdy na rozhuśtanej wodzie ukazywać się zaczęły żółte kutry. Na nabrzeżu prócz załogi budowy, zaopatrzonej w ubrania ochronne, pojawili się

(Dokończenie na str. 10)

Barbara WELLENGER

TADEUSZ BREYER

POLSCY rzeźbiarze stracili niedawno jednego z najstarszych spośród swego grona artystę — Tadeusza Breyera. Warszawska Akademia Sztuk Plastycznych zubożała o znakomitego i doświadczonego pedagoga, czynnego przez 41 lat na jej terenie.

Wszystkie jego dzieła uległy zniszczeniu w czasie wojny. Rzeźby i pomniki powstawały sukcesywnie, od czasów zdobycia złotego medalu jeszcze w Krakowie w roku 1898, dalej poprzez złoty medal w Paryżu w roku 1937, dwukrotne nagrody plastyczne m. Warszawy w 1938 i 1950 oraz nagrodę Mediolanu za statuę Kopernika.

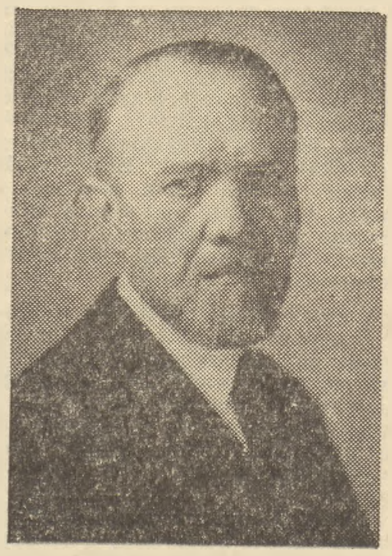
Jedynie pomnik „Generała Sowińskiego" w Warszawie na Woli ocalał szczęśliwie. W prywatnym mieszkaniu profesora pozostał natomiast projekt pomnika Mickiewicza, szkic postaci Dzierżyńskiego oraz nieukończony autoportret. Było by to niemal wszystko, co pozostało, dostępne postrzeganiu współczesnych a dziś właśnie po śmierci ich autora, daje możliwość przeprowadzenia analizy osobowości artystycznej Breyera.

Przyjrzyjmy się na chwilę „Sowińskiemu", temu dojrzałemu osiągnięciu okresu międzywojennego.

Cokół czworograniasty uskokami pnie się w górę. Cylindryczna, płaskorzeźbiona baza wyrasta wyżej. Ponad nią wznosi się bezpośrednio figura Generała, pełna godności i siły. To uderzająco zwarte traktowanie zarówno cokołu jak i wizerunku bohatera narodowego, jako jednorodnej całości bryłowej, charakteryzuje już na wstępie zrozumienie Breyera — rzeźbiarza dla wymowy pomnika wolnostojącego, o konturze nierozwichrzonym, skupionym. Od pierwszego wrażenia myśl kompozycyjna artysty uderza widza swą pełną konsekwencją.

Fałdy ubioru nieprzypadkowo udrapowane, zwieszająca się pochwa szabli, przyległa do lewego uda, odchylenie od pionu prawej, drewnianej nogi, szczątki barykady u stóp, współbudują trójkąt o szerokiej podstawie. Zgięta w łokciu ręka stwarza mocną linię poziomą, która wyżej przechodzi w drobniejsze, równoległe elementy, jak epolety na ramionach, żabot, układ włosów i rysunek samej twarzy. Twarz Sowińskiego zawiera ponadto najpełniejsze znamiona stylu Breyera. Odznaczając się modelunkiem ostrym, czytelnym, na wskroś realistycznym — podobnie jak cała postać — wolna jest od naturalistycznej, nieskoordynowanej drobiazgowości. Kształtowanie pomnika jest głęboko kompozycyjnie przemyślane. Znajomość tematyczna i formalna skierowały artystę nieomylnie na drogę koniecznych w rzeźbie monumentalnej uogólnień, dalekich od szkicowości lub dowolnej stylizacji. Breyerowski realizm przechyla się świadomie ku neoklasycyzmowi; czerpie natchnienie w zrytmizowaniu elementów figury, naśladuje wiernie antyczną elementarną bryłowatość ciała ludzkiego, zachowuje doskonałą konstrukcję i statyczność szkieletu oraz architektonikę. Bezpośrednia gra form, wierna, nieskazitelna czystość rysów Generała, wszystko podporządkowane jest koncepcji, wywodzącej się z rzeczywistego realizmu.

Przy całej precyzji rzemiosła rzeźbiarskiego, oczyszczonego z każdego



Tadeusz Breyer
fot. Photo-Plat

zbędnego efektu, odgadujemy pohamowaną pasję artysty, zamkniętą w tym „wytrzymanym" do końca dziele. Pozorny jej chłód jest raczej zrównoważeniem i świadomością, to zaś z kolei nadaje piętno obiektywizmu i powściągliwości. Breyer waha się bowiem między chłodem dzieł Canowy a klasycznym pięknem i ładem rzeźb Thorwaldsena.

Inne ocałałe prace Breyera, w skali szkicowej, zawierają te same elementy psychiczne i formalne. Ostatnią w gipsie, własną głowę profesora, znamionuje ponadto niezwykła zwartość i czystość modelunku, pełna prawdy i prostoty, która cechuje jego zasadniczą postawę artystyczną.

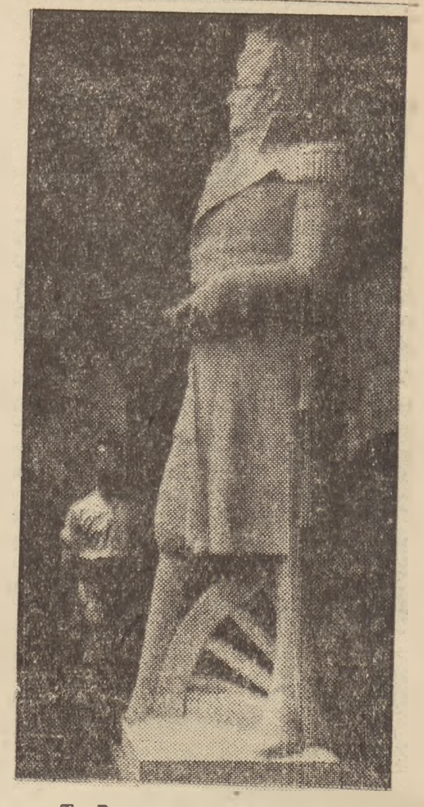
Nakreślone wyżej cechy plastyki Tadeusza Breyera pozwalają ocenić Breyera — człowieka. Rzeźby jego świadczą niezbicie o nim samym, więcej niż cokolwiek. Wizerunek jednak nie byłby pełen, gdyby nie zawierał charakterystyki pracy pedagogicznej w Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie oraz w pływu jego na współczesne pokolenie plastyków.

Zazwyczaj jesteśmy skłonni nie dostrzegać i nie doceniać ludzi cichych, małomównych, rzadko mówiących o sobie. Jakże się mylimy. Wieloletni, niezmordowany profesor Akademii, należał do rzadkiego typu ludzkich i czystych istot. „Niezachwianie i twardo a bez ostentacji, przekazywał swym uczniom zasady zdrowej, na realistycznym studium opartej pedagogiki. Bez zawiści i żółci, nade wszystko ceniąc obowiązkowość, skupiał dookoła siebie młodzież trzech pokoleń artystów. Prostota i kryształowa bezinteresowność przede wszystkim, zjednywały mu zaufanie i miłość uczniów. Byli wśród rówieśników jego głośniejsi, nie było bardziej zasłużonych". Tymi m. in. słowy żegnał profesor Akademii K. Piwocki Tadeusza Breyera.

Poszanowanie cudzej indywidualności, pogarda efekciarstwa, słów pustych czy suchych prawideł, praca twarda, rzetelna wiedza, wyczucie stylu i do głębi opanowane rzemiosło, pozwoliły jemu na nie tylko własne osiągnięcia. Przyczynił się on w zmiennych kolejach losu Akademii, do ciągłości tradycji realistycznej w szkolnictwie artystycznym początków naszego stulecia.

W młodości Breyera rzeźba polska nie należała jeszcze do sztuki powszechnie uznanej, a była zdana na zmienne gusta mecenasów, którzy chętnie popierali talenty, idące śladem prądów i mód zachodnio-europejskich. Jeżeliby wyliczyć rzeźby artystów, należących dziś do przeszłości, jak np. „Kiliński", „Mickiewicz", „Chopin", „Lotnik" czy „Chrystus idący", nie trudno skonstatować bardzo różnorodne tendencje. Lekceważenie tworzywa rzeźbiarskiego, częste w początkach XX wieku u niektórych plastyków, wyrażało się w akademicko-klasycznej tendencji, niepozbawionej teatralności, u innych występował liryczny impresjonizm, czy wreszcie kierunek nowatorsko-formistyczny i neoklasycyzm. Godebski, Jackowski, Szymanowski, Wittig i Kuna, wymienieni dla przykładu, świadczyć mogą o zmienności i chwiejności ówczesnych haseł rzeźbiarskich.

Indywidualni twórcy poszukiwali nowej wiary po upadku platońskiego ideału mistrzów Odrodzenia. Jednak nie tylko przedstawienie ale i sądy mogą być podłożem przeżyć estetycznych. Wiedza o człowieku i artyzm twórcy, zespolone, zrodzić mogły na koniec przekonanie, że przyroda — piękno niezamierzone — daje niewygasające źródła natchnienia w zakresie sztuki. Stąd głębokie zrozumienie Tadeusza Breyera dla widzenia i studium realistycznego uzasadniły jego nieustępliwe zasady pedagogiczne. Nic dziwnego, że uczniowie jego to wielu dziś awangardowych rzeźbiarzy realistycznych. Ich nazwiska: Wnuk, Strynkiewicz, Karny, Jarnuszkiewicz, Horno-Popławski, Rapapport, Sikora, Nitchowa, Jesion i wielu innych, którzy kształtują zarysowującą się polską szkołę realistyczną. Silna postawa architektoniczno-kompozycyjna charakteryzuje na ogół to środowisko. Przeciwstawiając się grożącemu powierzchownemu i płaskiemu naturalizmowi realizm ujęcia zażegnać może niebezpieczeństwo ostatecznego zatracenia stylu.



T. Breyer — Pomnik gen. Sowińskiego
fot. Ed. Koch

Mówiąc o perspektywach polskiej rzeźby trzeba z niesłabnącą wdzięcznością pamiętać o Tadeuszu Breyerze, który kierowany niezawodnym instynktem artysty parę dziesiątków lat temu właściwie ocenił potrzeby sztuki współczesnej. I potrzebom tym służył całym swym życiem.

Barbara Wellenger

Pierwsze spotkanie

25 CZERWCA 1905 r. dwoje młodych — mężczyzna i kobieta, każde mające niewięcej niż dwadzieścia lat, szło w górę po wielkich schodach prowadzących do Bazyliki Przenajświętszego Serca w Paryżu. W sercu mieli jakąś aktywną rozpacz, rozjaśnioną tylko — sami nie wiedzieli dlaczego — przekonaniem, że prawda, której byli spragnieni i bez której prawie niemożliwym było pogodzić się z życiem, pozostanie im kiedyś wskazana. Pewnego rodzaju moralna estetyka podtrzymywała ich słabo, a myśl o samobójstwie wydawała się jedynym wyjściem.

Wchodzili na wzgórze Montmartre w poszukiwaniu dziwnego żebraka, który, pogardzając jakąkolwiek filozofią wykrzykiwał na dachach prawdę Bożą i, będąc katolikiem o nienaruszonym posłuszeństwie, potępiał własne czasy i tych, którzy znajdują pocieszenie na ziemi. Robił to zaś, ze swobodą w której nie dorównywał mu nikt ze współczesnych. Oboje młodzi bali się strasznie tego ku czemu szli; szukali czegoś zupełnie innego niż literackiego geniuszu. Mieli w duszy uczucie pełne powagi: współczucie dla nieuznanej wielkości.

Przeszli przez mały ogródek, weszli do skromnego domu pełnego książek i pięknych obrazków. Zobaczyli najprzód kobietę, która ujawniała w całej swej postawie szlachetną, spokojną dobroć, potem dwie małe dziewczynki, przyglądające im się ze zdumieniem. Był to dom Leona Bloy i jego rodziny. Straszny pisarz wydawał się prawie nieśmiałym; mówił mało, głosem przyciszonym; starał się powiedzieć młodocianym gościom coś, co by ich nie wprowadziło w błąd. To co im objawił nie da się opowiedzieć: czułość chrześcijańskiego braterstwa i tą pewną trwogę, którą się odczuwa wobec duszy — duszy naznaczonej miłością Bożą. Bloy wydał im się przeciwieństwem tych, którzy pod dokładnie zachowaną politurą towarzyskości ukrywają poważne braki w sprawach ducha i tyle widocznych uchybień; zamiast być pobielanym grobowcem, tak jak faryzeusze wszystkich czasów, był spaloną, zczerniałą katedrą. Białość była w tym co najtajniejsze.

Kimże byli ci odwiedzający? Jakub i Raissa Maritain. Opowiedzieli oni sami to szczególne spotkanie z „niewdzięcznym żebrakiem", we wstępie do obszernej antologii, wybranej przez nich z dzieł Leona Bloy (wydanie Mercure de France). Od tego spotkania zaczęła się ich droga do chrztu i od tego dnia rozpoczęło się dla przyszłego filozofa badanie chrześcijańskiej Prawdy, której jest w naszych czasach jednym z najwyższych, najbardziej autorytatywnych i najbardziej słuchanych głosicieli.

Ze znajomości Leona Bloy i jego dzieła wypływa także, niewątpliwie, szczególna polityczna koncepcja Maritaina i jego płomienna oryginalność, która sprawia, że jest odosobnionym — tak jak jest się odosobnionym na szczycie — wśród bojowych katolików Francji, z których jedni uważają go za rewolucjonistę, inni za zbyt sztywnego i prawowiernego tomistę, a inni jeszcze za czystego doktrynera, oderwanego od twardej rzeczywistości.

Jakże widział on, jak osądzał wielkiego autora „La Femme Pauvre"?

MOŻNA by było powiedzieć — pisał prawie ćwierć wieku po tym pierwszym spotkaniu — że w gwałtownym pragnieniu błogosławionego objawienia Boga, Leon Bloy dobrowolnie zamykał oczy na światło powszednie i szedł po omacku do całkowitego olśnienia. Ta sama mistyczna niecierpliwość znajduje się u źródeł jego sztuki. Jakże by mógł ścierpieć swych współczesnych, te niewdzięczne cienie, w których rzeczywistość nie potrafił nigdy uwierzyć! On sam był współczesnym Tertuliana i Orygenesa, chrześcijaninem z II wieku, zagubionym w III Republice. Znajdował się w swoistym stanie niemożności dostrzegania i osądzania, w ich istocie, jednostek i poszczególnych okoliczności. Nie rozróżniał ich. Stąd, przesadna czasem, gwałtowność jego oskarżeń. Wymierzone były gdzie indziej: cel ich znajdował się znacznie dalej. Bloy był opanowany pewną abstrakcją, ideą, według której każdy wypadek, każdy gest, każda jednostka były oderwane od przypadkowości, od konkretnych warunków ludzkiego środowiska, które czyniły je wytłumaczalnymi, przemienione w oczach straszliwego wizjonera w czysty symbol jakiejś pożerającej duchowej rzeczywistości.

Ciążyła na nim bezgraniczna melancholia, dręczące poczucie, że zapomniano o Bogu i Jego miłości, powszechna nienawiść do Ubogiego poniżenie i okrucieństwo świata, w którym Ewangelia już nie była znana.

Wtedy to wybuchało jego oburzenie „posłusznego wykonawcy sprawiedliwości". Mój gniew — mawiał — jest tylko wzburzeniem mojej pobożności. Pisał, aby wyswabadzać dusze.

Bezustannie zwrócony, dzięki swej żywej wierze, ku Obcowaniu Świętych, prosił aby mu danym było cierpieć wyjątkowo — jak Hiob na barłogu współczesnej kultury — i został wysłuchany. Przez całe życie nienawidził niesprawiedliwości, kochał ubogich i opuszczonych, oczekiwał — z jaką niecierpliwością! — objawienia chwały Bożej. Swym głosem miał wyrażać oczekiwanie, agonię rzeszy ubogich i żebraków. Straszna jego ironia chłostała podłość dumnego świata, który ich uciemiężał. Potrzebny był głos wołający Prawdę bez ogródek, nic nie osłaniający, nic nie ukrywający, drapieżny, aby zerwane zostały wszystkie zasłony, pod którymi ukrywają ją ludzie.

Wiele dusz, przez niego powołanych do światła świadczy o jego życiu nadprzyrodzonym, pokorze, pobożności, hojności, miłości Boga. Gwałtowność była drugim obliczem jego miłosierdzia szarpanego przez burze. Człowiek wolny, którego żaden człowiek, ani żaden interes ziemski nie ugiął nigdy, oparł się zawsze uwielbianiu krwawych mitów i cielesnych wielkości świata — apostaty i przeniewiercy.

Takim widział „niewdzięcznego żebraka" Jakub Maritain w ów czerwcowy dzień prawie na samym początku wieku, na wzgórzu Montmartre.

Kamil.

Romuald DZIESZUK

ŹRÓDŁA IMPERIALIZMU USA

W SWEJ pracy o imperializmie, ogłoszonej po raz pierwszy w 1916 roku, Lenin wskazał na nieuchronność zjawiska imperializmu jako na ostatnie stadium rozkładającego się kapitalizmu. Zgodnie z tymi założeniami rozwijał się i imperializm amerykański. W specyficznych warunkach, w jakich powstawały Stany Zjednoczone istniał jeszcze czynnik, będący jakby zaczynem przyszłego imperializmu, potwierdzający dialektyczne prawo jedności przeciwieństw. Czynnikiem tym był izolacjonizm.

Tak wielki rozwój imperializmu amerykańskiego byłby nie do pomyślenia, gdyby nie poprzedzała go i nie wspomagała polityka izolacjonizmu. Od początku niepodległego bytu, podstawą polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych była obawa aby mała, z wielkim trudem oswobodzona republika, nie padła ofiarą zaborczości mocarstw starego świata. Stany Zjednoczone bały się, aby wpływy europejskie nie zagroziły wolnościom republikańskim, które wobec reakcyjnych ustrojów tych monarchii mogły być wówczas rzeczywiście nazwane wolnościami. Strach ten znalazł swój wyraz w stosowaniu skrajnego izolacjonizmu przez przeszło sto lat od chwili zalecenia Jerzego Washingtona w 1797 r., żeby z państwami europejskimi pielęgnować i rozwijać stosunki handlowe, ale aby *„możliwie jak najmniej mieć z nimi stosunków politycznych."*[1])

Polityka izolacjonizmu służyła Stanom Zjednoczonym jako puklerz chroniący je przed wpływem Europy. Jednocześnie Stany Zjednoczone rozszerzały swoje granice czy to drogą kupna nowych terenów czy to za pomocą siły lub wymuszenia. W ten sposób Stany zagarnęły całą północną Amerykę z wyjątkiem Meksyku na południu i Kanady na północy.

Walki wolnościowe w południowej Ameryce przeciwko Hiszpanii wywołały ogromne zainteresowanie wśród mocarstw europejskich. W końcu 1823 roku brytyjski minister spraw zagranicznych George Cunnings zwrócił się do posła Stanów Zjednoczonych w Londynie Ricarda Rusha z propozycją wydania przez obydwa rządy wspólnego oświadczenia wobec definitywnego utracenia przez Hiszpanię kolonii w Ameryce. Za radą ministra Johna Adamsa[2]) nie zgodzono się na wspólną deklarację i ogłoszono osobne oświadczenie na wyłączną odpowiedzialność Stanów Zjednoczonych. To właśnie oświadczenie, zwane później doktryną Monroe'go stało się podstawą polityki „izolacyjnej" Stanów Zjednoczonych.

Pierwsza część oświadczenia prezydenta Monroe'go stwierdza, że obydwa kontynenty amerykańskie z racji swych wolnościowych ustrojów założonych i utrzymanych przez ich ludy, nie mogą być w przyszłości terenem kolonizacji jakiegokolwiek mocarstwa europejskiego. Następna część oświadczenia odnosi się do sytuacji narodów na południe od Stanów Zjednoczonych i stwierdza, że Stany Zjednoczone nie są zainteresowane w najmniejszym stopniu jakimikolwiek konfliktami między państwami europejskimi, o ile konflikty te nie naruszają lub nie zagrażają interesom Stanów Zjednoczonych. *„Z wszelkimi wypadkami na tej półkuli jesteśmy bardzo bezpośrednio związani przez przyczyny, które uznać musi każdy obiektywny obserwator". „System polityczny mocarstw europejskich jest zasadniczo różny od amerykańskiego. Dlatego też wszelkie próby narzucenia tego systemu w jakiejkolwiek części zachodniej półkuli będziemy uważać jako zagrożenie naszego pokoju i bezpieczeństwa". „W sprawy już istniejących kolonii i posiadłości mocarstw europejskich nie mieszamy się i nie będziemy się mieszać, lecz rządy które zdobyły i utrzymały swoją niepodległość są przez nas uznane i nie pozwolimy nikomu mieszać się w ich sprawy".*

Powyższa deklaracja została ułożona przez prezydenta Monroe'go przy współpracy byłych prezydentów Jeffersona i Madisona w oparciu o zlecenie Jerzego Washingtona wygłoszone w mowie pożegnalnej w 1797 roku w chwili gdy opuszczał stanowisko pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Doktryna Monroe'go, mogąca więc być nazwaną doktryną pięciu prezydentów (Washingtona, Jeffersona, Madisona, Adamsa i Monroe'go) określa nader wyraźnie zdecydowaną wolę Stanów Zjednoczonych wyłącznego sprawowania rządów na zachodniej półkuli i bierze pod swoje opiekuńcze skrzydła wszystkie państwa znajdujące się na tej części globu. Jakakolwiek obca ingerencja w sprawy zachodniej półkuli miała być uważana jako pogwałcenie żywotnych interesów Stanów Zjednoczonych. W ten sposób cała półkula zachodnia została zagarnięta przez młodą zaledwie trzydzieści dwa lata liczącą republikę i taka polityka została nazwana „izolacjonizmem". Amerykańska polityka izolacjonizmu bywała niejednokrotnie bardzo agresywną, nie traciła ona jednak przez to znamion „polityki strachu".[3]) Chodziło tu głównie o niedopuszczenie jakiejkolwiek penetracji europejskiej na kontynenty amerykańskie i zabezpieczenie się przed ewentualnym najazdem. Próby przyłączenia Kanady do Stanów Zjednoczonych okazały się bezskuteczne, Kanada pozostała częścią Imperium Brytyjskiego, jednak z tej strony nie groziło Stanom żadne niebezpieczeństwo. Doktryna Monroe'go nie jest żadnym aktem ustawodawczym, jest zasadą, którą kieruje się rząd Stanów Zjednoczonych ilekroć to jest dla niego wygodne. Odnosi się ona wyłącznie i niepodzielnie do półkuli zachodniej, żadna jednak nowa doktryna odnosząca się np. do drugiej półkuli nie była by w żadnym razie w sprzeczności z doktryną Monroe'go. Według słów Elichu Roota doktryna Monroe'go jest oparta *„na prawie do samoobrony, a to prawo jest uznane przez prawo międzynarodowe"*.

Doktryna Monroe'go została w miarę czasu nieco zmodyfikowana; to co dotyczyło mocarstw europejskich zostało rozciągnięte na wszelkie inne państwa. Nie zmieniło to jednak zasadniczych cech samej doktryny, które w skrócie tak można sformułować: 1) przeciwstawia się ona jakiejkolwiek nieamerykańskiej ingerencji, pod jakimkolwiek pozorem, w sprawy politycznej niepodległości państwa amerykańskiego, oraz 2) przeciwstawia się uzyskaniu, w jakikolwiek sposób kontroli nad wszelkim, dodatkowym terytorium na półkuli zachodniej, przez jakiekolwiek państwo amerykańskie.

DO czasu I Wojny Światowej, a więc w okresie umacniania się Stanów Zjednoczonych na półkuli zachodniej, polityka amerykańska często powoływała się na doktrynę Monroe'go. Gdy w 1845 roku prowincja Yucatan zwróciła się do rządu Stanów Zjednoczonych z prośbą o przyłączenie jej do Stanów i jednocześnie zwróciła się z podobną prośbą do rządów Wielkiej Brytanii i Hiszpanii, prezydent Polk wydał deklarację, w której oświadczył, że rząd Stanów Zjednoczonych nie może się zgodzić na przekazanie panowania i władzy nad jakimkolwiek terytorium amerykańskim ani Hiszpanii, ani Wielkiej Brytanii, ani innemu mocarstwu.

Stany Zjednoczone były świadome ewentualnych skutków, jakie może pociągnąć za sobą ścisłe przestrzeganie doktryny Monroe'go. Mocarstwa europejskie jednak wolały nie ryzykować otwartego konfliktu zbrojnego. Historycznym przykładem tego będą wypadki na Mosquito Coast w 1858—60 roku[4]) oraz francuska interwencja w Meksyku w końcu 1867 roku[5]), sprawa uregulowania granicy między Wenezuelą a Brytyjską Gujaną w 1895—97 roku i ustosunkowanie się Stanów Zjednoczonych do pretensji niemieckich, brytyjskich i włoskich wobec Wenezueli w 1902—4 roku.

W 1912 roku Senat powziął uchwałę, będącą w oczywistym związku z Zatoką Magdaleny w Meksyku[6]), *„że jeśli jakikolwiek port lub inne miejsce na kontynencie amerykańskim są tak położone, że ich zajęcie dla celów militarnych może zagrażać komunikacji lub bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, rząd Stanów Zjednoczonych nie może obojętnie znieść posiadania takiego portu lub miejsca przez jakąkolwiek korporację lub stowarzyszenie będące z jakimkolwiek innym rządem w stosunkach, które by mu dawały praktycznie władzę lub kontrolę dla celów militarnych"*.

Zostało wyjaśnione, że uchwała ta opiera się na zasadzie *„samoobrony"* i że *„jest związana z doktryną Monroe'go choć nie jest od niej zależna i nie wynika z niej"*.

W czasie prezydentury Clevelanda, w związku z wystąpieniem Stanów Zjednoczonych w sprawie granicy w Nikaragui minister Olney oświadczył, że doktryny Monroe'go nie można uważać za protektorat Stanów Zjednoczonych nad innymi państwami amerykańskimi, ani też nie upoważnia ona żadnego państwa amerykańskiego do zwolnienia się z zobowiązań międzynarodowych lub nie broni państwom europejskim egzekwowania takich zobowiązań.

Teodor Roosevelt powiedział w 1906 roku, że jest wiele nieporozumień wśród państw południowej Ameryki co do ustosunkowania się do nich Stanów Zjednoczonych. *„Panuje opinia, że nasza interpretacja doktryny Monroe'go daje nam przewagę lub prawo wykonywania jakiegoś protektoratu nad nimi. Nie ma nic bardziej odległego od prawdy."*

Ponieważ polityka doktryny Monroe'go była polityką Stanów Zjednoczonych, przeto rząd Stanów Zjednoczonych zastrzega sobie wyłączne prawo jej interpretacji i zastosowania. Stąd interpretacja tej doktryny może być bardzo dowolna w zależności od każdorazowego prezydenta i jego administracji.

Prezydent Woodrow Wilson stwierdził, że *„doktryna Monroe'go była powzięta i ogłoszona przez władze Stanów Zjednoczonych. Była ona i będzie zawsze utrzymana na ich wyłączną odpowiedzialność.* „Niejednokrotnie było jednak stwierdzane, że Stany Zjednoczone powitały by przychylnie przyjęcie podobnej polityki przez inne państwa amerykańskie. Prezydent Wilson marzył nawet o nadaniu doktrynie Monroe'go zasięgu światowego. W swoim piśmie do Senatu z dnia 22 stycznia 1917 roku proponował on aby wszystkie narody świata przyjęły doktrynę Monroe'go, *„aby każdy naród wielki czy mały mógł wolny i nieskrępowany stosować swą własną politykę"*.

Doktryna Monroe'go stosowana była w zależności od potrzeb racji stanu Stanów Zjednoczonych, były okresy gdy się o niej wciąż mówiło, w innych wcale nie była wspominana. W okresie wojny hiszpańskiej doktryna Monroe'go zaprowadziła Stany Zjednoczone aż na Filipiny. I tu właśnie był punkt zwrotny amerykańskiej polityki. Kapitalizm Stanów Zjednoczonych „nazbyt dojrzał", świat był już podzielony, epoka kapitału finansowego podporządkowywała kraje półkolonialne. Takim krajem dla Stanów Zjednoczonych miały być Filipiny.

Dokładne przeanalizowanie imperializmu i izolacjonizmu doprowadza nas do wniosku, że izolacjonizm był skutecznym orężem dla imperializmu Stanów Zjednoczonych. Gdyby nie polityka izolacjonizmu w XIX wieku Stany Zjednoczone nie byłyby tym, czym są, lecz małym państewkiem na zachodniej półkuli, otoczonym koloniami i posiadłościami mocarstw europejskich, o ile same nie byłyby czyjąś kolonią lub w najlepszym razie dominium.

Niewątpliwie na pierwszy rzut oka, imperializm jest przeciwieństwem izolacjonizmu. Gdy obserwujemy obydwa zjawiska w ruchu, w zmianie, w życiu, sprzeczności wydają nam się jeszcze większe. Jednakże imperializm nie jest w prostej sprzeczności z izolacjonizmem. W miarę czasu izolacjonizm przemienił się w swoje własne przeciwieństwo. Oczywiście, że i bez izolacjonizmu, po epoce kapitalizmu nastąpiłby imperializm, izolacjonizm jednak był konieczny, aby Stany Zjednoczone stały się wielkim mocarstwem kapitalistycznym, rychło staczającym się w epokę imperializmu. Izolacjonizm podobnie jak każda rzecz czy zjawisko zawierał w sobie swą sprzeczność, był „izolacjonizmem" i jednocześnie swym własnym zaprzeczeniem. Od początku istnienia polityki izolacjonizmu istniały w Stanach Zjednoczonych dwa zwalczające się przeciwstawne kierunki. Jeden zmierzał do potwierdzenia izolacjonizmu, drugi do jego zaprzeczenia. Jeden kierunek mógł być reprezentowany przez wyznawcę wolnej i niczym nieskrępowanej konkurencji, dla której było jeszcze dosyć miejsca na półkuli zachodniej — drugi przez kapitana wciąż rozrastającego się przemysłu, potrzebującego nowych źródeł surowców i nowych rynków zbytu. Piszę „mógł być reprezentowany", gdyż w rzeczywistości nie było stałych przedstawicieli tych dwuch kierunków. W zależności od interesów tej czy innej grupy, jej przedstawiciele raz byli zwolennikami — drugi raz przeciwnikami izolacjonizmu. A nawet jedni i ci sami ludzie dowolnie interpretowali doktrynę Monroe'go w zależności od potrzeb chwili, własnych interesów czy też racji stanu Stanów Zjednoczonych. W rezultacie izolacjonizm okazał się bardzo skutecznym orężem dla imperializmu tego kraju.

---

1) W oficjalnym przemówieniu pożegnalnym, w chwili opuszczania ostatniej swojej prezydentury.

2) John Quincy Adams późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

3) M.J.Bonn. Die Kultur der Vereinigten Staaten von Amerika str. 207

4) Mosquito Coast (Moskito Reserve) — część wschodniego wybrzeża Nikaragui, niegdyś protektorat brytyjski. W 1860 roku na podstawie traktatu zw. Clayton - Bulwera, Wielka Brytania wycofała swe pretensje do tego terytorium na podstawie ugody ze Stanami Zjednoczonymi, która mówiła, że żadne z obu mocarstw nie ufortyfikuje, nie skolonizuje, ani nie będzie wykonywać władzy nad kanałem, który mógłby być w przyszłości przekopany w Ameryce Środkowej. Do czasu zawarcia tego układu, Wielka Brytania niejednokrotnie usiłowała skolonizować Mosquito, co prawda z małym powodzeniem; w 1848 r. oblężenie Greytown przez tamtejszych Indian przy poparciu brytyjskim wywołało energiczny protest Stanów Zjednoczonych, które wyrażały wówczas bardzo zdecydowaną postawę. Mówiło się nawet o wojnie.

5) Maksymilian austriacki, brat Franciszka-Józefa, przyjął koronę i tytuł cesarza Meksyku dnia 12.6. 1864 roku. W obronie wolności i niepodległości Juarez Alwarez rozpoczął rewolucyjną walkę wyzwoleńczą w 1854 r. a w 1861 r. opanował Mexico City. Nastąpiła wówczas interwencja europejska na zasadzie paktu zawartego w tymże roku w Londynie między Wielką Brytanią, Francją i Hiszpanią. Utworzone cesarstwo od początku było słabe i chwiejne, większość kraju była opanowana przez reakcyjne wojska interwencyjne. Kiedy w 1865 roku w Stanach Zjednoczonych zatryumfowali Unioniści, minister spraw zagranicznych W.H. Seward wysłał ultimatum do Napoleona III, żądające wycofania jego wojsk z Meksyku. Ponieważ interwencja meksykańska nie przyniosła korzyści materialnych, oraz wobec austriacko - niemieckiego konfliktu, Napoleon wolał mieć swe wojsko w Europie, zdecydował się więc wycofać je z Meksyku. Konsekwencją tego było zwycięstwo Juareza i stracenie Maksymiliana.

6) Zatoka Magdaleny leży na półwyspie Kalifornia. Modero, który obalił długotrwały rząd Porfirio Diaza, wzbudził wrogość kapitału amerykańskiego. Wówczas prezydent Taft nałożył embargo na broń, polecił obywatelom amerykańskim opuścić Meksyk, zarządzając jednocześnie koncentrację wojsk na granicy Meksyku. Własność amerykańska w Meksyku była niszczona lub zagrożona.

SALUT RYBAKÓW

(Dokończenie ze str. 7.)

ludzie z Kapitanatu, Centrali Rybnej i z osiedli. Umykając wodzie, tryskającej za falochron, rozmawiali gestami. Tylko Kędra, z rozgorzałą, wychłostaną wichrem twarzą, istny tytan żywotności, postanowił przekrzyczeć żywioły.

— Sprężynuje! — ryczał, wskazując falochron — Ale wytrzyma!

Kiwali głowami. Żelbetowa konstrukcja przesuwała się i wracała po palisadzie niby na sprężynach, lecz zwyciężała napór wody.

Najbliższy z kutrów był już na drodze, oznakowanej bojami. Fala wyniosła go wysoko, po tym zniknął i wymanewrował w miejscu, gdzie się go jeszcze nie spodziewali, przed samym wejściem.

— Dobry szyper! — uznali zgodnie. A kuter ślizgał się już spokojnie na gładkiej wodzie portu pod bezpieczną osłoną falochronu.

— Wła 3! — pozdrowił Borowski znajomą załogę — Hej, Marianka!

Dziewuszka już była przy braciach, a ci, gestem wskazując falochron przyłożyli złożone palce do rybackich hełmów. Salut.

Następne kutry, przybijające kolejno do pomostu, szybowały w skupionym milczeniu, ale na żadnym nie zapomniano o salucie dla budowniczych i budowy. Schodząc z kutrów rybacy szli ku ludziom z budowy, bijąc brawa w dłonie, tak wyblakłe, jakby woda wyniszczyła je z żywych barw.

— Coś się nam chyba na dobre odmieni — mówili — kiedy już tak zaczyna iść. Że ten falochron mieliście skończyć tego roku, to wcale nie było powiedzone, a że on zdał swój egzamin w takiej pogodzie, to widać jest mocny! Mocniejszy od wody!

Na swój list z przed dziesięciu dni Zbyszek otrzymał w odpowiedzi pismo, w którym cała rodzina doradzała mu wyjazd z okropnej miejscowości, gdzie marnuje czas i zdrowie.

„Papa poczynił już odpowiednie kroki wśród naszych przyjaciół. Inżynier Kopecki jest kierownikiem kulturalnej placówki, gdze mój drogi synek znajdzie mniej więcej odpowiedni sobie dobór ludzi.

Z tego co się dowiadujemy z Twych powściągliwych słów, tamtejszy budowniczy, bo nie wydaje mi się, by mógł on kiedykolwiek ukończyć wyższe studia — nauka wysubtelnia najgrubsze natury — c'est un monstre bez śladu delikatności. Projektu Twego nie był w stanie ocenić, jak przypuszczasz słusznie". Dalej matka podawała bliższe szczegóły, dotyczące placówki z znajomym kierownikiem. Jola w chaotycznych rzutach zdań, rozsianych po marginesach wspólnego listu, donosiła, że pragnie odwiedzić brata w dniach najbliższych, gdyż „piszę obecnie dramat, wyobraź sobie i dla uwydatnienia kontrastów potrzebne mi pierwowzory natur pierwotnych. Są pewnie łatwi do odczytania jak dzieci. Wystarczy mi dzień, jak sądzisz, dla rozgryzienia Twojego osiłka i kompanii? bo dłużej pewnie nie dałabym rady. Poza tym współczuję Ci a maman odmawia z nami co dnia nowennę na intencję Twego szczęśliwego powrotu. Udało mi się znaleźć okazyjnie, w pospolitym komisie, potpourri z wagnerowskiego Holendra, ale prawda, że to nie Twój genre... Posłuchać jednak musisz!" Jerzyk z dyskretnym umiarem i cienko pisaną między wierszami ironią, komentował słowa matki i siostry zaś Andrzej w sposób zdecydowany korygował Jerzyka. Z ich słów Zbyszek nie zapamiętał jednak nic prócz ogólnego tonu żartobliwości u pierwszego, zaś podniecającego napięcia u drugiego z braci. Ojciec streszczał się: „Bywaj chłopcze! Pamiętaj, że czeka Cię wyciągnięta ręka Ojca, który mimo cerowanej na łokciach marynarki, wciąż jeszcze może to i owo. Bywaj!"

Zbyszek odruchowo zmiął list i potem dopiero zastanowił się, co uczynił. Oto kierowała nim obawa, że ktokolwiek z tutejszych ludzi mógłby poznać jego treść. Spłonął na tę myśl i jął krążyć nerwowo po ciasnej izbie. Wreszcie wybiegł.

Ilekroć przypominał sobie później swe przeżycia, nie był w stanie wyjaśnić, w jakim konkretnie celu wpadł wówczas do kwatery Borowskiego. Majster mył się, ale zaprosił go gestem. Lecz chłopiec, równie nagle jak wpadł, wycofał się za drzwi, bąknąwszy tylko „o, przepraszam..."

Gdy wracał, miał wciąż w szeroko rozwartych oczach obraz obnażonego torsu z brązowym śladem opalenizny na szyi i otaczającym go metalowym łańcuszkiem, podtrzymującym szkaplerz. Ten szkaplerz na szyi majstra drążył mu myśl niby wiercący świder betonową ścianę. Dezorientował, wręcz przerażał, przynosząc udrękę pytań bez odpowiedzi. Napróżno usiłował odzyskać spokój, szepcąc modlitwy. Bóg osłonił się chmurą a przestwór stracił jasność i przejrzystość, w której przywykł widzieć siebie i bliskich, kroczących jedynie właściwą drogą. Proste drogi zwikłały się w zdradliwe ścieżki i próżno szukał z nich wyjścia. Widział matkę, poniżającą prostaków na budowie i czuł się za nich dotknięty do żywego... Słyszał Jolę, szczebiocącą o nich i ogarniał go zły, sarkastyczny śmiech... Z mroku wypełzała żółtawa twarz bezrobotnego Retzau'a: — No, panie techniku... zwijać kable?...

Ojciec śmiał się: — Dobry kawał! Ten chłopak wyrzuca sobie jakieś zniszczone kable na niepotrzebnej budowie!

Zniszczone kable... Czuł jednak, że niszczało wówczas coś więcej, bo po tamtym wypadku nie śmiał już patrzeć śmiało w oczy budowniczych i unikał Retzau'a. Na myśl, jakie też mieli oni zdanie o nowym praktykancie doznał przykrości tak silnej, że zapragnął nagle rzucić się w płomień i zmienić skórę. Pod wpływem nagłego popędu, przeszedł niewielką przestrzeń, dzielącą go jeszcze od biura budowy i zapukał do izby głównego inżyniera. Lecz nie zastał go. Szukając go na nabrzeżu, natknął się na Milgiewicza. Wielki cieśla zwijał się nad drewnianym blatem, na którym przykrawał części drzewne ruchami tak celowymi, jak krążenie zegara, a tak precyzyjnymi jak ruchy chirurga.

— Szukam głównego inżyniera — rzekł praktykant.

— Inżynier? — uśmiechnął się cieśla. — a spaceruje... Fajrant! Odpoczywa, pod wodą sobie chodzi...

— Jakto?...

Milgiewicz wskazał gestem bazę nurków.

— Woda już bulgotała, i inżyniera już widać. Wychodzi. Lubi on takie wędrówki po morskim piasku. Niby dla sprawdzenia roboty, ale ja wiem, że i do rybek go ciągnie, ha, ha, ha; Albo to nie boży świat pod wodą? — odłożył hebel i jął składać narzędzia. — Panie Retzau! A nie zamykaj pan jeszcze składziku!

Retzau?... Praktykant ujrzał byłego brygadzistę, znoszącego zapobiegliwie obrzynki desek do magazynu.

— Retzau znów pracuje?...

— A tak. Pracuje, pewnie, że pracuje. Już on się teraz będzie pilnował. Widzi pan, jak śmiga, niczym pszczółka, do magazynu? Prawie, że mi wióry spod hebla wyjmuje! Nie w smak mu te kable poszły... nie w smak..., A inżyniera już widać!

Praktykant drgnął i cofnał się, zanim, zebrawszy siły, ruszył naprzeciw kroczącego Kedry.

— Chciałbym porozmawiać z panem — rzekł szybko i zdecydowanie.

— Doskonale! Wyrzucałem już sobie, że zapomnieliśmy o naszym młodym techniku, ale to w nawale pilnych robót...

— Musze jednak zacząć od pewnego wyjaśnienia: to ja podmówiłem Retzau'a do zaniedbania obowiązku zabezpieczenia sprzętu przy niepewnym wietrze.

— Pan?!... Pan właśnie?.., Do dziwnego Boga pan się modli... Plótł mi już Retzau te brednie, ale nie dałem im wiary. Pan... podmówił? Dlaczego? Może to... z urazy o niezatwierdzony projekt?..,

Chłopiec stał blady, ze spuszczoną głową.

— A wie pan, co się za taki czyn należy? Z miejsca powinien bym usunąć pana z budowy! Za demoralizację załogi! Za szkody, wyrzadzone ludziom i budowie!... Powinien bym... gdyby... gdybym mimo wszystko nie widział, że uczciwie panu z oczu patrzy. Sumienie spać nie dało, co? Dam panu możność rehabilitacji: dużo solidnej, uczciwej roboty. Dziś już biuro puste, szufladki pozamykane, ale zgłosi się pan do mnie zaraz rano.

— Dziękuję...

— No, dobrze — inżynier wyciągnął rękę. — Mam jeszcze interes do kapitana... Do jutra!

Skręcił ku pomostom. Flotylla jaskrawo żółtych kutrów oplatała je niby poruszane łagodnym podmuchem złote jesienne liście oplatają konary drzew. Praktykant westchnął. Potem, zawróciwszy ku lądowi, pobiegł na pocztę nadać telegram. „Przyjazd Joli niewskazany stop wyjaśniam listem stop zostaję na tej samej budowie Zbyszek".

Wanda Chylicka

Andrzej ODNOWA

Teatr francuski w Warszawie

SZTUKA Roger Vaillanda „Pułkownik Foster przyznaje się do winy", której prapremiera z udziałem policji w teatrze „l'Ambigu" wywołała tyle wrzawy w Paryżu i całej Francji przekształcając się w głośną „l'affaire Foster", najszczęśliwszym zbiegiem okoliczności pojawiła się w lipcu na scenie stołecznego Teatru Kameralnego w reżyserii **Louis Daquina** i gościnnym wykonaniu paryskiego zespołu teatralnego.

Sceneria sztuki Vaillanda jest ta sama co w wystawianych przed rokiem w Domu Wojska Polskiego „Ludziach dobrej woli" Mdivaniego. Stanowi ją mieszkanie rodziny południowo-koreańskiej, w której zatrzymuje się sztab amerykański latem 1950 roku. Tylko gdy sztuka radziecka odsłaniała na tle agresji i odwrotu Amerykanów przemianę, zachodzącą w prostym człowieku koreańskim, sztuka francuska ukazuje na tym samym tle wstrząs, jaki przeżywa w swym sumieniu przedstawiciel najeźdźców, uczciwy inteligent amerykański: z rosnącym zdumieniem przekonuje się on, że wojna, którą uważał za podjętą w obronie wolnego kraju przed „komunistami", jest brutalną agresją, okrutną operacją, dokonywaną na żywym ciele broniącego się wszystkimi siłami narodu.

I tu występuje partyzantka ludowa i działająca na jej rzecz młoda Koreanka. W pięknym świetle przedstawiono postać bohatera komunisty, rozstrzelanego w końcu IV aktu. Osobny ton wprowadza natomiast niemniej ciekawa i ważna w sztuce postać chrześcijanina-pacyfisty.

Radiotelegrafista, sierżant Paganel, wtóruje swoim bystrym spojrzeniem zza okularów i czarującym, mądrym humorem starciu poglądów, jakie odbywa się w kwaterze sztabu. Kiedy po niepowodzeniach ofensywy koledzy odkrywają wśród jego książek... „Ekonomię polityczną" i ciągną go jako komunistę przed sąd, Paganel oświadcza, że jest chrześcijaninem i — w konsekwencji — przeciwnikiem masowej zagłady. Jego powrót z patrolu i relacja o śmierci dowódcy i towarzyszy, uzyskuje w przedstawieniu francuskim wymowę przejmującego oskarżenia wojny. Ta postać sztuki Vaillanda była w wykonaniu **Philippe Kellersona** prawdziwym wykładnikiem zdrowego ludzkiego sensu, owego sensus communis, tak wysoko stawianego przez chrześcijaństwo i uparcie opowiadającego się za pokojem jako zasadą życia.

Niedawny autor „Dziwnej zabawy" odbył, jak wskazuje sztuka o pułkowniku Fosterze, poważną ewolucję ku zasadniczej problematyce społecznej, obchodzącej miliony ludzi na całym świecie.

Sztuka Vaillanda, w miarę sensacyjna, o technice jakby filmowej — od aparatu radiotelegrafisty padają cały czas meldunki o przebiegu walki w terenie; o stale narastającym napięciu akcji zewnętrznej i wewnętrznej: przemian psychologicznych; o żywym, prawdziwie francuskim dialogu, może nieco przydługim w pierwszych dwóch aktach; nie pozbawiona ani humoru, ani patosu walki, przede wszystkim zaś prawdziwa swym realizmem i głęboko ludzka tendencją, znalazła w reżyserii Louis Daquina i w wykonaniu paryskiej obsady aktorskiej znakomitych odtwórców.

Przedstawienie było przykładem ujęcia realistycznego, które cechowały wielki umiar i dyskrecja środków artystycznych, a nie zabrakło w nim temperatury uczuciowej i szlachetnego, ideowego żaru. Szczególnie pouczające było — zarówno od strony dramaturgicznej, jak i wykonawczej — potraktowanie postaci ujemnych oraz scen z bohaterami pozytywnymi, a więc tych momentów, które przesądziły o artystycznej klęsce niejednej ze sztuk naszego młodego realizmu socjalistycznego.

W „Pułkowniku Fosterze" przeważają postacie ze świata kapitalistycznego. Trafiają się i zdecydowanie ujemne: koreański rekin przemysłowy, Cho Aodi Yang, porucznik Mac Allen czy zezwierzęcony żołdak amerykański, denuncjant, któremu reżyser przydał może zbyt stereotypowy rys, że stale żuje coś w ustach. Odtwórcą najbardziej czarnego charakteru, Cho, był **O'Brady**, artysta będący znanym działaczem katolickim i autorem książek z zakresu filmu i teatru. Zarysował on doskonałą w masce i charakteryzacji (świetnie zrobione „azjatyckie brwi"), mającą coś podstępnego w dykcji, postać cynicznego (aż prawie nadto — vide koniec IV aktu) i bezwzględnego eksploatora, obcego swemu narodowi kosmopolity. Wprawdzie o powiązaniach z wszechświatowym kapitałem, o kuzynostwie z Trumanem każe mu Vailland pod koniec II aktu mówić w sposób raczej symboliczny aniżeli ściśle realistyczny, O'Brady doskonale jednak zrównoważył te przerosty, obdarzając postać Cho przenikliwością, inicjatywą, sarkastycznym humorem. Mimo lekkiego naświetlenia satyrycznego czuło się w nim wroga poważnego, nawet groźnego. Również Mac Allen w interpretacji **Raoul Guilleta**, przy nieco demonicznej urodzie, erotomanii i ograniczoności „American boy", oddawał realistycznie sylwetkę sfaszyzowanego, gotowego nie na żarty bronić swych kapitalistycznych interesów, oficera.



Scena zbiorowa z sztuki Roger Vailland'a „Pułkownik Foster przyznaje się do winy", w wykonaniu paryskiego zespołu teatralnego. Reżyseria: Louis Daquin. Scenografia: Max Douy. Od lewej: O'Brady (Cho), Philippe Kellerson (sierż. Paganel), Raoul Guillet (Mac Allen), Pierre Asso (Pułk. Foster). Fot. Wdowiński (CAF)

Rolę tytułową odtworzył **Pierre Asso** w całej jej psychologicznej złożoności. Nie idealizował swego pułk. Fostera, ukazał jego zasadniczą uczciwość, wahania jego sumienia, ale ukazał też, jak sukcesy partyzantki i własne niepowodzenia zaczynają czynić go twardym i popychają ku bezwzględności. Zmieniona obecnie, zaostrzona pointa sztuki pogłębiła jeszcze realizm kreacji Asso. Pierwotnie, w zakończeniu sztuki, schwytany przez partyzantów Foster ma możność z pomocą Lyi ocalić się niepoznany, tylko własne jego sumienie każe mu się przyznać do winy. W zmienionym ujęciu Foster raczej usiłuje ujść od odpowiedzialności, lecz właśnie Lya rozpoznaje go i przygważdża. Jest to rozwiązanie może mniej zaskakujące dramatycznie, ale niewątpliwie nie idealizujące i bliższe rzeczywistości. Degradacja psychiczna pułk. Fostera nakłada na odtwórcę zadanie tym trudniejsze: Asso podołał mu operując z wielką powściągliwością techniką aktorską nawskroś światłocieniową.

I wreszcie pozytywne postacie bohaterów walki wyzwoleńczej, te postacie, które w mniej dojrzałych dziełach socjalistycznego realizmu stają się jakże często ckliwe i melodramatyczne. Tu były to role wyjątkowo odpowiedzialne, lecz wszystkie zagrane zostały mocno i szlachetnie. Jedyna kobieta w przedstawieniu, Lya, córka Cho, gra cały czas rolę dwuznaczną, przyjmuje wyznania miłosne Amerykanów i przekazuje przez służącego (bardzo dobra i wymowna, choć niemal czysto mimiczna rola **Vincent Viala**) informacje na zewnątrz, wśród tego zaś wyrażać ma jeszcze nieujarzmioną duszę Korei. **Loleh Bellon** dobrze oddała nieprzenikniononość tej postaci przy pozorach przynależności do psychicznego i towarzyskiego świata posiadających. Nader trudną była również rola więźnia komunisty, Masana (**André Charpak**), przeprowadzanego kilkakrotnie w kajdanach przez scenę i stwarzającego swymi lapidarnymi wypowiedziami pointy aktów. Charpak, mający wspaniałe warunki zewnętrzne, uniknął grożącego roli tonu cierpiętniczego, ukazał w Masanie natchnionego, bohaterskiego proletariusza, choć scena z Lyą przed egzekucją słusznie wygrana została nie wyłącznie na momencie politycznym, lecz raczej na najbardziej osobiście ludzkich, na muzyce, wspomnieniu miłości, wizji lepszej przyszłości. Charpak umiał nadać twarzy bohatera przedziwną jasność i prześwietlenie, doskonale odpowiadające jego ostatnim słowom: „il faut croire au bonheur" — trzeba do końca wierzyć w szczęście.

Poziom reszty zespołu, a grali wśród niego tacy artyści jak odtwórca sprzed lat roli Gavroche w „Nędznikach", **Emile Genevoix**, był wyrównany — z wyjątkiem może scen przeprowadzania więźniów. Przejrzysta scenografia Maxa Douy uzyskała, operując w momencie przełamywania się frontu światłem i ciemnością, efekt plastycznej symboliki, wykraczającej już co prawda poza aluzję utrzymaną w granicach w pełni realistycznego uzasadnienia.

Występy zespołu paryskiego, ofiary brutalnych metod policyjnych własnego rządu, stanowią poważne wydarzenie natury artystycznej i ideowej. Przedstawienie sztuki Vaillanda wskazuje, że dążenie do realizmu scenicznego bardziej związanego z społecznym podłożem zjawisk żywe jest również i notuje osiągnięcia w postępowych kołach artystycznych Zachodu. Wskazuje zarazem, że sprawy wojny i pokoju wśród wszystkich na świecie ludzi dobrej woli rozumiane są tak samo.

Andrzej Odnowa

Sławomir BŁAUT

„Przedolimpijskie zawody”

TOM „Opowieści sportowych”. Mariana Promińskiego[1]) zawiera cztery utwory: „Drugą proszę”, „Bierz rękawice!”, „Dziesięć kilometrów” i „Bramkarz Świętej Barbary”. Dwa pierwsze opowiadania zostały nagrodzone na tegorocznym przedolimpijskim konkursie literackim, toteż książka weszła na półki księgarskie otoczona specyficzną aurą i kredytem zaufania, jakim zazwyczaj darzy się u nas książki wyróżnione.

Tematyka sportowa nie ma wśród naszych pisarzy wielkiego powodzenia; w prozie powojennej wspomnieć można chyba jedynie „Opowieść olimpijską“ Broszkiewicza. Nieco lepiej jest w poezji, gdzie mamy tej miary osiągnięcia, co „Ody olimpijskie“ Iwaszkiewicza; wyróżniają się też „Niezbrojni zwycięzcy“ Rymkiewicza. Wszystkie te utwory cechuje sięganie do antycznych tradycji sportowych, podkreślenie ponadczasowych wartości sportu, wydobycie jego humanistycznych i pacyfistycznych akcentów. Książka Promińskiego jest więc pierwszą próbą umiejscowienia tych spraw w bliskim nam kontekście czasowym.

Sport to dziedzina nieco egzotyczna, pisarz czerpiący z niej materiał twórczy otacza się sui generis zasłoną dymną, rzuca mgiełkę na tajemnice swego warsztatu. Pamiętajmy o tym i podkreślając jeszcze raz pionierski charakter wystąpienia Promińskiego przyjrzyjmy się, jak są zrobione jego opowiadania. Na kanwie wydarzeń sportowych stara się pisarz rozbudować indywidualne konflikty wewnętrzne, postawić zagadnienia moralności zawodniczej i wychowawczego oddziaływania sportu.

W opowiadanu „Drugą proszę“ obserwujemy zmierzch kariery zawodniczej starego tenisisty Michała Wańczury, który ciężko przeżywa konieczność rozstania się z czynnym życiem sportowym, stanowiącym dlań sens jego istnienia.

Centralnym wydarzeniem utworu jest spotkanie Wańczury z młodziutkim przeciwnikiem w ramach międzynarodowego turnieju, które przynosząc triumf młodości nad rutyną wielokrotnego mistrza rozwiewa wszystkie jego plany i marzenia. Dotkliwa porażka była ciosem, od którego walił się wypracowany wieloletnim wysiłkiem świat Wańczury; wydawało mu się, że nikt się już z nim nie liczy, że jest już nikomu niepotrzebny, wyrzucony poza nawias. Pojawia się rozgoryczenie, niechęć, rezygnacja, przygnębienie. Nowelistyczne ukształtowanie całości odwraca ten stan rzeczy.

Bo oto przychodzi telegram z wiadomością, że Wańczurze nadano tytuł zasłużonego mistrza sportu za jego sukcesy zawodnicze i pracę nad szkoleniem młodych. To przywraca mu wiarę we własną przydatność społeczną, daje mu przekonanie, że swymi umiejętnościami i doświadczeniem będzie mógł jeszcze służyć sportowi, wychowywać nowe zastępy młodych tenisistów, pozwala mu zrozumieć znaczenie swojej przegranej: „Przypomniał sobie swoje pierwsze zwycięstwo nad pewnym głośnym, wysoko notowanym tenisistą. Wówczas — obiektywnie rzecz biorąc — jego radość była więcej warta niż smutek tamtego, który przegrał. To jest prawo życia: wieczne ustępowanie ustalonych na krótko wartości — pod naporem nowych; nigdy zastoju, nigdy spoczynku“.

Słuszną myśl utworu psuje niezręczna jej realizacja. Autor łączy dość przypadkowo dwa wydarzenia bez wykazania ich wewnętrznego związku, bez artystycznego uzasadnienia. Takie zestawienie faktów bez motywacji ich wspólnej więzi, nie na zasadzie wynikania, lecz przypadkowego następstwa stwarza w konstrukcji artystycznej lukę, której nie może zapełnić przypadek podniesiony do godności chwytu artystycznego. Przypadek odgrywa dużą rolę w życiu, a więc i w twórczości, która z tego życia czerpie. Świat utworu literackiego rządzi się nieco innymi prawami, niż rzeczywistość zewnętrzna, stąd każdy element dzieła musi być tym prawom podporządkowany (co wcale nie pociąga za sobą odstępstwa od realistycznej typowości). Wewnętrzna logika konstrukcji artystycznej wymaga konsekwentnego poddania każdego motywu ogólnej koncepcji, żadne posunięcie pisarza nie może zasadzać się jedynie na poza literackich skojarzeniach. Tu punkt zwrotny następuje jak deus ex machina, a zaszczytny tytuł zasłużonego mistrza sportu, który nadaje się naszym najwybitniejszym sportowcom, zostaje sprowadzony do roli nagrody pocieszenia, mającej osłodzić gorycz porażki. Takie są rezultaty pogoni za łatwymi efektami.

„Bierz rękawice!“ przynosi odwieczny motyw trójkąta, którego perypetie mają służyć jako wątpliwa zresztą ilustracja tezy moralnej. Na szczególną uwagę w tej umoralniającej powiastce zasługuje błędna sugestia deprecjonująca boks, ustawiająca w fałszywym świetle problematykę, znaczenie i oddziaływanie tej gałęzi sportu. Jałowe dywagacje nad boksem, które wkłada autor w usta trenera, zawodników i dziennikarzy prowadzą do niewłaściwych insynuacji; boks dla Promińskiego to tylko brutalna bijatyka. Nokauty i faule. Mylące jest także oddanie atmosfery widowni; w opowiadaniu Promińskiego jedyną reakcją publiczności są gwizdy. Tak jednostronne przedstawienie musi wydać się każdemu miłośnikowi sportu krzywdzące, a ponadto świadczy o nieznajomości psychiki i nastrojów widzów. Gwizdami wyraża publiczność najczęściej swe niezadowolenie z werdyktów sędziowskich, tymczasem w „Bierz rękawice!“ gwizdy zjawiają się w najmniej odpowiednich momentach wywołując u każdego kto otarł się o te sprawy, niezamierzony zapewne efekt komiczny. („Stan napięcia stawał się nieznośny, publiczność pobudliwa do przesady, i podczas ostatniego spotkania w wadze średniej groźnymi pomrukami lub wściekłym gwizdem odstraszała zawodników od otwartej, bardziej ryzykownej walki“).

Autor zapomina, że praca nad wyrobieniem sportowym publiczności daje poważne rezultaty i dziś coraz rzadsze są podobne wypadki, o czym bez trudu można się przekonać na jakimkolwiek meczu.

„Dziesięć kilometrów“ przynosi zmianę miejsca, a co za tym idzie i klimatu opowiadania. Na ogół trafnie uchwycono tu kontrastowe zetknięcie się prawdziwego sportu ze światem pieniądza, konflikt między sumieniem zawodnika a nęcącymi pro pozycjami wysokich dochodów, ale znów wypada to blado skutkiem uproszczeń i niedostatków motywacji, ograniczającej się do naiwnej anegdotki. Promiński odsłania tak charakterystyczne dla świata kapitalistycznego merkantylne podejście do wszystkiego, a więc i do sportu, rywalizacja sportowa staje się tutaj tłem dla ciemnych sprawek wysłańców hollywoodzkiego businessmana. Wysiłki tych ludzi skupiają się na pozyskaniu dla swych celów Polaka, Mazurka, jednak wszechmoc pieniądza, której zdawałoby się nic nie zdoła się oprzeć, zawodzi, bo polski zawodnik nie chce się sprzedać. Wysyłając swych podwładnych do Europy producent filmowy, Alfred Biedermann powiedział: „Ja jestem Europejczykiem i wiem, że tam się liczy także coś, co nazywają honorem, a szczególnie niebezpieczna jest jego odmiana, zwana honorem sportowym. Panu może się wydawać, że masz już jegomościa w kieszeni, gdy tymczasem... powiedzmy, że prezydent jego państewka poprosi go ładnie, żeby pozostał w kraju i nie osierocał rodzimego sportu, i taki usłucha. It's revolting (to jest oburzające), ale prawdziwe“. Piękna Colette, która umiejętnie zabrała się do usidlania Mazurka, wspomniała przy nim nieopacznie te słowa i to zadecydowało, że Polak oparł się pokusom i postanowił wrócić do kraju. Znów trzeba zaprotestować przeciwko takiemu rozwiązaniu, bo o postawie polskiego sportowca winno rozstrzygać jego morale, a nie przypadkowa niezręczność antagonistów.

Chybiony kompozycyjnie jest „Bramkarz Świętej Barbary“; autor podobnie jak w opowiadaniu poprzednim operuje tu motywami sensacyjnymi. Katastrofa następuje mniej więcej w połowie utworu, a wypełniające dalsze jego partie próby psychologicznego wyjaśnienia samobójstwa świetnego bramkarza luźno wiążą się z częścią pierwszą. Obserwujemy tu brak zwartości, brak ekonomii konstrukcyjnej i słownej, co odczuwa się silnie przy informacyjno-sprawozdawczym charakterze narracji. Prawie wszystkie opowiadania Promińskiego są przetrzymane; pisarz nie uznaje niedopowiedzeń, zawsze chce postawić kropkę nad i, doprowadzić wszystko do końca, co często irytuje czytelnika.

Zasadniczym zastrzeżeniem jury konkursu wobec nagrodzonych utworów Promińskiego było słabe powiązanie ze współczesną rzeczywistością. Próby tego powiązania sprowadzają się do zewnętrznych wtrętów i deklaracji, do otynkowania całości kiepską zaprawą współczesności.

Lektura „Opowieści sportowych“ nasuwa wrażenie dobrej znajomości realiów; jednak przy bliższym wniknięciu odczuwamy, że ta znajomość jest jakaś niepełna, jakby płynąca nie z autopsji, nie z bezpośredniej obserwacji. Odnosi się wrażenie, że pisarz chce zbliżyć do nas sprawy, które nie są mu dostatecznie bliskie i właśnie ta postawa wtórnego obserwatora nie od wewnątrz z pozycji zawodnika czy widza, lecz z zewnątrz jest przyczyną sztuczności, umowności problemów i rozwiązań. Była o tym mowa już przy opowiadaniu „Bierz rękawice!“, tu ograniczę się do jednego tylko przykładu: jest stary sportowy zwyczaj, że na boisko wchodzi najpierw drużyna gości, a potem gospodarze; u Promińskiego („Bramkarz Świętej Barbary“) ta kurtuazja nie jest zachowana. Z tym, co wyżej powiedziano wiąże się przerost swoistego technicyzmu sportowego, przesycenie tekstu fachowymi terminami, realiami z zakresu zewnętrznego sztafażu.

Artystyczne odtworzenie przebiegu zawodów nawet dla doświadczonego pisarza nie jest prostym i łatwym zadaniem. W utworze literackim trzeba wyjść poza sprawozdanie dziennikarskie, trzeba wydarzenia sportowe zespolić z przeżyciami zawodników czy widzów, wydobyć i podkreślić dramatyczność, jaką kryje w sobie każda walka na boisku, bieżni, ringu czy korcie. W „Opowieściach sportowych“ widać dążenie do takiego właśnie ujęcia, nie zawsze jednak uwieńczone pomyślnym skutkiem. Brak pogłębienia psychologicznego i wewnętrznego zaangażowania postaci sprawia, że opis zawodów staje się suchą, monotonną relacją („Drugą proszę“).

Na koniec jeszcze jedna uwaga, tym razem pod adresem redaktora książki. Należałoby zastosować jednolitą pisownię terminów sportowych obcego pochodzenia (głównie angielskiego). Zapewne stopień ich polonizacji jest różny, trzeba było jednak wybrać albo pisownię ortograficzną (angielską), albo fonetyczną (polską), by obok bekhendów, drajwów, wolejów i smeczy nie pojawiał się double, matchball, goal i knock out. Niektóre z tych terminów wymagałyby objaśnienia.

Tom prozy Promińskiego sprawia nam zawód, ale sąd jaki można by wysnuć ze szczegółowego rejestru jego błędów, nie byłby sprawiedliwy. Wymaga on łagodniejszej oceny, bo idzie po nieprzetartych jeszcze drogach. Wykazanie niebezpieczeństw, jakie czyhają na autora sięgającego po te tematy, może pomóc innym w uniknięciu podobnych potknięć. Sport z całym bogactwem, jak dotychczas w małym tylko stopniu wykorzystanych możliwości, czeka na pisarzy.

Sławomir Błaut

1) Marian Promiński „Opowieści sportowe“ PIW 1952, str. 285, red. Eryk Skowron

WIECZORY POD LIPĄ

O jedzeniu soli i jasnowidzach

JEST takie bardzo mądre i bardzo chrześcijańskie przysłowie: „Trzeba z kimś zjeść beczkę soli zanim się go pozna“. Nie wszystkim jednak odpowiada taka długodystansowa taktyka. Wolą oni zabierać się do rzeczy całkiem inaczej.

Znam takiego jednego — dajmy na to — Tadzia. Jest to człowiek niemal genialny. Bardzo często mawia: „Ja to, proszę pana, jak tylko na kogo popatrzę, zaraz wiem, z kim mam do czynienia“. Popatrzy i wie. O jednym mówi „idiota“, o drugim „podejrzany typ“, na wzmiankę o kimś innym tylko wzrusza pogardliwie ramionami. Z tym pierwszym jechał raz tramwajem w towarzystwie ich wspólnego znajomego z Mokotowa na Żoliborz, drugiego poznał na przyjęciu imieninowym u cioci Jadzi, a z trzecim w ogóle nie rozmawiał. Widział go kiedyś w jakiejś kawiarni, czy w teatrze, czy może w poczekalni u lekarza. Sam dobrze nie wie. Ale pomimo to wzrusza ramionami i macha lekceważąco ręką.

„Pierwsze wrażenie jest najważniejsze“ — twierdzi i uśmiecha się tajemniczo, jakby znał jakieś niedostępne dla laików metody zaglądania w dusze ludzkie. Skąd ta absolutna, niewzruszona jego pewność? Nie wiem. W każdym razie fakty nie bardzo ją potwierdzają. Kiedy mu zwrócić na to uwagę, Tadzio robi zdziwioną minę. Co takiego? Człowiek, którego on uznał za egoistę, chciwca i dusigrosza, jest biedny jak mysz kościelna a jednocześnie bardzo uczynny i bezinteresowny? Tak o nim mówią? Ho, ho! Mogą mówić, ale nie jemu, nie Tadziowi. On dobrze wie, co w kim siedzi. Raz tylko popatrzy i wie.

„No tak — oponuje nieśmiało — fakty jednak są faktami..“. Tadzio potrząsa z politowaniem głową. Czy ja naprawdę jestem taki naiwny? Osiwiałem, wyłysiałem, a jeszcze nie wiem, że najgorsi najlepiej się maskują. Jeżeli ktoś ma opinię bardzo szlachetnego, uczynnego, bezinteresownego, trzeba się mieć na baczności w stosunkach z takim. Jegomość się maskuje. Maskuje się — i basta! Jeżeli tylko miałby po temu okazję, oszukałby mnie, wystrychnął na dudka, obrabował, zarżnął albo zgoła pożarł żywcem, na wet bez soli i musztardy. Sądzę, że Tadzio przesadza? Że to, co mówi, jest okropne? Nonsens. Okropna jest moja ciełęca naiwność i okropne maskowanie się bestii w tamtym „dobroczyńcy“, „filantropie“. Bestia! Zła, przyczajona bestia! Tadzio dałby głowę za prawdę swoich słów. Tylko na tamtego raz popatrzył, już go przejrzał na wylot. Może stary drań tumanić takich poczciwych niedołęgów jak ja, ale nie Tadzia. O nie! Tadzia nikt nie nabije w karafkę!

Tadzio jest niewyżytym artystą. Powinien pisywać sensacyjne albo niesamowite powieści. Niestety, brak mu talentu literackiego. Wyładowuje więc swoją pasję twórczą w układaniu makabrycznych historyjek o Bogu ducha winnych bliźnich, a wybujałą ambicję — we wmawianiu w siebie i innych arabskiej baśni o swoim niebywałym talencie duszoznawczym.

Tadzio jest po trochu monomaniak i fiksat. Jego pewność siebie i przesada w snuciu fikcyjnych charakterystyk świeżo poznanych osób nosi na sobie zbyt wyraźne piętno rozbrykanego fantazjotwórstwa, by ktokolwiek mógł traktować serio tadziowe „portrety imaginacyjne“.

W tym jednak rzecz, że Tadzio jest członkiem bardzo licznego klanu. Nie on jeden ufa ślepo w magiczną doniosłość „pierwszego wrażenia“. Iluż z nas w ten właśnie sposób załatwia się z ludźmi, faktami, ideami! Coś się zobaczyło, coś się posłyszało i to wystarcza, aby ferować wyroki, ustalać opinie, korygować cudze mniemania.

Nie lubimy przyznawać się do swojej niewiedzy. Jakże to trudno wykrztusić: „Nie znam się, niestety, na tym“, „Nie czytałem tej książki“, „Bardzo mało wiem o Igrekowskim“. O ileż prowniej i lepiej czujemy się wygłaszając sądy mocno i wyraźnie sprecyzowane: „Eee, to bzdura!“, „Igrekowski to kretyn“, „Nie trać czasu nad tym powieścidłem“. Ponieważ zaś na świecie sporo jest wszelkiego rodzaju bzdurnych pomysłów, kiepskich powieści, kretynowych Igrekowskich, trudno od czasu do czasu nie wygłosić sądu przypadkowo słusznego. A potem ten i ów spośród naiwniejszych bliźnich szepcze z uznaniem: „Jakżeś ty to trafnie określił!“. My zaś w takich wypadkach uśmiechamy się z pobłażliwą wyższością pozwalając bliźniemu domyślać się, że przez skromność tylko nie mówimy wprost: „Cóż w tym dziwnego? Przecież to ja powiedziałem“.

Nie da się jednak owej wiary w nieomylność pierwszych wrażeń uzasadnić chęcią imponowania, zarozumialstwem. Zarozumialstwo jest tu raczej objawem wtórnym, rezultatem dumy z poczucia przynależności do kategorii istot wyjątkowych, obdarzonych jakąś niesłychanie wrażliwą, nadczułą intuicją, umożliwiającą odczytywanie jednym rzutem oka tajemnic czyjejś duszy, bezbłędną orientację w doniosłości i wszelkich konsekwencjach jakiejś idei. U podstaw błędu czai się ambicja, pragnienie wyróżniania się i górowania nad innymi, stary grzech pychy.

Pewnie, bywają jakieś nieuzasadnione przyczynowo odruchy sympatii i antypatii, które później doświadczenie potwierdza. W ilu jednak wypadkach podobne odruchy emocjonalne okazują się błędne? Nigdy nie można być zanadto ostrożnym w formułowaniu sądów oceniających, opinie zaś tzw. „instynktowne“ bywają przeważnie rzutowaniem na spotykane osoby i przedmioty życzeń i niepokojów, urojeń i upodobań, lub po prostu przeżywanych w danej chwili nastrojów.

Nie, tak nie można! Trzeba jeść sól. Trzeba między sobą a swoim bliźnim postawić tę imaginacyjną, przysłowiową beczkę soli i co dzień wespół z nim spożywać jedną szczyptę. „Ależ to będzie potwornie długo trwało!“. Długo? Lepiej poczekać — choćby nawet bardzo długo — niż ufając w nieomylność „pierwszych wrażeń“ mówić fałszywe świadectwo przeciw bliźniemu. Chociaż wygodniej jest tak jak Tadzio: popatrzeć i wszystko wiedzieć. Tylko co wtedy wie się naprawdę?

Bogumił Kolec

Andrzej JOCH

CZŁOWIEK Z KARABINEM

PAŃSTWOWE Teatry Dramatyczne we Wrocławiu wystawiły na scenie Teatru Polskiego sztukę Mikołaja Pogodina pt. „Człowiek z karabinem".

Sztuka ma 3 akty i aż 12 zmieniających się odsłon. Zważywszy bardzo dużą ilość ról (program wylicza ich 42, a nie są to wszystkie, gdyż luźne kwestie wygłaszają i statyści, grający żołnierzy czy marynarzy) zważywszy wielką liczbę statystów i brak sceny obrotowej, wreszcie istnienie w sztuce ról osób historycznych, tak dziś popularnych i znanych, jak Lenin, Stalin, należy podziwiać odwagę teatru, który porwał się na wystawienie tego dzieła. Teatr wrocławski nie zawiódł. Zgodnym wysiłkiem zespołu stworzono widowisko barwne, pasjonujące, o akcji żywej i trzymającej w napięciu, a przede wszystkim ukazujące prawdę o Rewolucji Październikowej.

Sztuka Pogodina napisana w r. 1937 doskonale odtwarza atmosferę dni rewolucji i daje trafną charakterystykę przedstawicieli obydwu stron walczących w październiku.

Ludzie rewolucji wyczuwają wielkość czynu, o którym marzyli i który latami przygotowywali. Opromienia ich w sztuce swoisty, rewolucyjny romantyzm.

Z postaci przeciwnego obozu — może i dzięki dobrej grze aktorek — zwracają uwagę żona przemysłowca Sibircewa (Janina Martynowska) i jego matka (Antonina Dunajewska).

Sztuka jest utworem wybitnie politycznym i dzięki pięknemu połączeniu realizmu i romantyzmu oddziaływa na widza na wskroś mobilizująco.

Oddziaływanie to zostało jeszcze wzmocnione przez połączenie niejako widowni ze sceną w ostatniej odsłonie. Akcja przedstawia więc, ów popularny „meeting", który był tak charakterystycznym i częstym zjawiskiem społecznym w erze Wielkiej Rewolucji. Inscenizator umieścił prezydium meetingu na czele z Leninem na jednym z balkonów widowni, na który spada bezpośrednio przed osłoną olbrzymia czerwona flaga, stanowiąca tło dla Lenina, Stalina i statystów, odgrywających resztę członków prezydium. Lenin (grany przez Feliksa Żukowskiego) wygłasza płomienne przemówienie zwrócone w tym samym stopniu bezpośrednio do publiczności na widowni, co i do aktorów: żołnierzy, marynarzy, czerwonogwardzistów, chłopów, robotników i działaczy komunistycznych wpatrzonych weń na scenie. Ciekawa ta koncepcja reżyserska i inscenizacyjna (nie wiem w jakiej mierze jest ona oryginalnym pomysłem wrocławskiego inscenizatora) jest niejako „kropką nad i" mobilizując polityczny charakter sztuki.

Pracy i pomysłowości reżysera i inscenizatora Jakuba Rotbauma zawdzięcza też przedstawienie przejrzystość toku akcji, przez zześrodkowanie jej wyraźnie na losach Iwana Szandrina żołnierza z frontu, potem „człowieka z karabinem", potem rewolucjonisty, wreszcie dowódcy oddziału i agitatora. Zawdzięcza też przedstawienie reżyserowi (oczywiście zasługę tę dzieli z nim personel techniczny) swą płynność akcji i jej szybki tok. Sukcesem technicznym sceny wrocławskiej były w niezwykle krótkich odstępach dokonywane zmiany dekoracji.

Nie zawiedli odtwórcy czterech głównych ról: Feliks Żukowski w roli Lenina, Władysław Dewoyno w roli Stalina, Ludwik Benoit w roli Iwana Szadrina (tytułowej) i Adolf Chronicki w roli Czibisowa. Na czoło tej czwórki wysuwają się Żukowski i Benoit. Żukowski grał niezwykle konsekwentnie ukazując w granej przez siebie wielkiej postaci, charakterystyczny chód i gestykulacje oraz oryginalny, nieco dyszkantowy głos. Dla widzów, którzy jeszcze tak niedawno widzieli tego aktora w roli Rasplujewa (w „Małżeństwie Kreczyńskiego" Suchowo-Kobylina) jest rewelacją, że to jeden i ten sam aktor gra tak zupełnie różniące się między sobą postacie. Wszystkie cechy psychiczne i fizyczne Wodza Rewolucji w tym stopniu w jakim wyobraża je sobie widz teatralny, zdołał swą grą ukazać Żukowski: a więc inteligencję, ukochanie człowieka, bojowość, decyzję, odpowiedzialność i płomienny żar rewolucyjny.

Doskonały był też Ludwik Benoit, który tak niedawno stworzył kapitalnego Fullera (w „Trzydziestu srebrnikach" Fasta). Oceniając jego grę jako wielkie osiągnięcie artysty, najlepszą rolę w jego karierze i jedną z najlepszych w roku bieżącym kreacji aktorskich kraju, Jan Kott oddał grze Benoit pełną sprawiedliwość. I pozostali dwaj aktorzy: Adolf Chronicki i Władysław Dewoyno zasługują na pochwały, przy czym o pierwszym z nich też dałoby się powiedzieć, że to również najlepsza rola w jego dotychczasowej karierze.

Z ról epizodycznych niektóre zagrane były bardzo dobrze i to: z obozu kontrrewolucji prócz wspomnianych już — epizody Renaty Fijałkowskiej działaczki — mieńszewiczki, z obozu rewolucji Zbigniewa Skowrońskiego (świetny jowialny marynarz-żartowniś), Barbary Jakubowskiej (sekretarki Wiery) i Mieczysława Nawrockiego (sekretarza Nikanora)

Przykładem, ile można wydobyć z roli epizodycznej, może być odegranie przez Fijałkowską małej rólki działaczki - mieńszewiczki. Strojem, charakteryzacją (woskowa twarz, siwiejące włosy) ruchem, nerwowym sposobem palenia papierosów, niecierpliwością, gestami zawodowego politykiera i ochrypłym głosem, aktorka ta w ciągu kilku minut przebywania na scenie opowiedziała wszystko o sobie: że jest związaną z nawykami i uczuciami burżuazji „działaczką" rzekomo rewolucyjno-socjalistyczną gotową w nieskończoność dyskutować problemy i interpretacje nauk Marksa i Engelsa, lecz która rzadko tylko zniża się do kontaktu z dołami i dla której szansa zwycięskiej walki o socjalizm jest mrzonką.

Scenografia Aleksandra Jędrzejewskiego i Wiesława Langego doskonale odtwarzała wnętrze i plenery a kolorytem pięknie harmonizowała z kostiumami aktorów. Była czytelna i piękna, zatem całkowicie spełniała swe zadania.

W sumie przedstawienie mogące uchodzić za nader poważne wydarzenie kulturalne w skali całego kraju.

A. Joch

FILM

»Kariera w Paryżu«

SAM tytuł nowego filmu Defy zrealizowanego na podstawie „Ojca Goriot" Balzaka, „Kariera w Paryżu", sugeruje, że autorzy nie zdecydowali się na ekranizację całej powieści, ale że wybrali tylko jeden jej wątek. Wykorzystanie dla filmu wielkich dzieł literatury — jeśli zamierzeniem realizatorów jest wierna adaptacja całego tekstu literackiego jest próbą najogólniej mówiąc, wypowiedzenia zawartości tekstu literackiego przy pomocy środków wyrazowych filmu.

Niemniej twórcy „Kariery w Paryżu" nie zdecydowali się ani na to, by wybierając balzakowski motyw tak go przetworzyć, żeby przeróbki i niewierność w stosunku do dzieła Balzaka była usprawiedliwiona jakimś zamierzeniem artystycznym, ani na wybranie jakiegoś fragmentu powieści i podjęcia próby przeniesienia go na ekran zgodnie z tekstem literackim, stwarzając w ten sposób odrębną całość (tak jak to zrobiono w Związku Radzieckim z epizodem Nędzników w filmie „Urwis Gavroche") W filmie tym zdecydowano się tylko na poprawienie Balzaka i to poprawienie go w sposób bardzo schematyczny.

Wielki pisarz nie stworzył rzeczywiście w swojej pasjonującej powieści postaci pozytywnej, scenarzysta dorysował więc Yvette, której dopiero przeciwstawił te postacie złe z powieści. Balzac pozwala na zrobienie kariery Eugeniuszowi de Rastignac, scenarzysta ten „błąd" poprawia wychodząc z założenia, że zło powinno zostać przykładnie ukarane, tak więc widzimy w filmie, jak lekkomyślny młodzieniec odchodzi z Paryża poniżony i załamany upadając symbolicznie i faktycznie w błoto. Balzakowski Eugeniusz de Rastignac przekształcił się więc w typowego młodzieńca z historii, która równie dobrze mogłaby nosić tytuł „Zgubne skutki lekkomyślności" jak „Kariera w Paryżu". Te poprawki fabuły robią wrażenie jakby scenarzysta usiłował wyostrzyć to, co u Balzaka jest momentem oskarżenia ustroju, zapominając, że to oskarżenie ma swoją najmocniejszą pasję demaskatorską w tym kształcie artystycznym, w którym zawarł je autor dzieła sztuki, trudno jest poprawić nawet jeśli mają w czyimś pojęciu wady.

O wadach Balzaka tak napisał Boy w swoim wstępie do „Ojca Goriot".

„Zwracam tu przeto bez ceremonii uwagę na skazy, jakie mnie uderzają w dziele Balzaka, w tym przeświadczeniu, iż nic mu one nie szkodzą. Nie są to nawet właściwie skazy, ale jak gdyby narośle na tym wytwornym kształcie, dzięki którym staje się on bardziej niezwykły i drażniący... Nie wyrzekajmy na te wady: Bez nich „Komedia ludzka" nie byłaby tym czym jest".

W filmie zauważamy niekonsekwencję realizatorów w stosunku do powieści, gdy scenarzysta poprawia wady Balzaka, reżyseria i gra aktorów idzie po linii absolutnej wierności wobec tekstu literackiego. Można dostrzec przy całej paradoksalności tego stwierdzenia, że największym błędem filmu jest jakiś kompromis między pietyzmem reżyserii i grą artystów w stosunku do tekstu a zmianom dokonanym przez scenarzystę. Film powinien albo gruntowniej przerobić balzakowską powieść, wyraźniej się od niej oddalić albo usiłować ją wierniej ekranizować.

Reżyser G. Klaren stworzył udatnie atmosferę zła, zepsucia, chciwości, zdobywania pieniędzy za wszelką cenę, atmosferę tak bardzo charakterystyczną dla powieści Balzaka. Winą scenariusza jest, że film ma za bardzo ponure i jednolite tło. Na ekranie głównym bohaterem jest pieniądz, który jak marionetkami kieruje ludźmi, w powieści natomiast motyw ten jest ważnym, decydującym czynnikiem, ale wynika z szeroko pokazanego tła psychologicznego, nie zasłania sugestywnego widowiska życia. Dzieła Balzaka są przerażające, brutalne, ale są także pełne pasji życia, film pozostawia zaś wrażenie smętne i ponure. Właśnie przez zubożenie ludzkich, psychologicznych konfliktów.

Jak już wspomniałam dużo pietyzmu w stosunku do Balzaka okazali aktorzy. Bardzo balzakowski jest Willy A. Kleinau jako Vautrin. Klaramaria Skala i Ursula Burg jako córki Goriota, Erika Glässner jako księżna de Langeais, Ruth Hausmeister jako Hrabina de Beauseant wreszcie Joachim Hildebrand jako Eugeniusz de Rastignac, to postaci z Komedii Ludzkiej — z małym zastrzeżeniem, że rozgrywa się ona w tym samym środowisku w Niemczech.

Starannie z rozmachem opracowane dekoracje, duża kultura szczegółu tak ważna w filmie kostiumowym, piękne wnętrza nie są może dla wymagającego widza wskrzeszeniem Paryża, są za mało francuskie, lecz mimo to dodają wiele uroku tej, (szkoda, że tak bardzo poprawionej) powieści Balzaka na ekranie.

Mimo błędów koncepcyjnych scenariusza, dzięki pracy reżysera i dobrej obsadzie aktorskiej „Kariera w Paryżu" jest niewątpliwie jednym z ciekawszych tegorocznych filmów Defy.

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Dziadek malowany, czyli o niebezpieczeństwie postawy estetycznej

W jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Powszechnego" ukazało się pełne uroku i wdzięku opowiadanie J. Parandowskiego „Dziadek Malowany". Pisane wyjątkowo pięknym językiem wydaje się zaspokajać wszelkie wymagania, jakie stawiać można formie. Parandowski umiał znaleźć i dobrać z sobie tylko właściwym talentem wszystkie środki artystycznego wyrazu dla oddania wspomnień dziecinnych związanych z postacią niemal historyczną dziada-żebraka, który służył za model całej prawie galicyjskiej „malarii" tamtego czasu.

Wyłuskany spośród tylu spraw i zajęć, którymi „siedmioletni człowiek zajęty jest w ciągu dnia, malowany dziadek" tak samo wesoły i uśmiechnięty w skisły listopadowy ranek jak w maju" pozuje do rozmaitych świętych malarzom i przepija zarobione pieniądze u ślepego Joska czy Kijaka. Był to bowiem okres „wielkiego zapotrzebowania na pogodnych żebraków w przymierzu ze słońcem i gałązką jaśminu". Znani malarze malowali „beztroskie ubóstwo pewni sukcesu na jesiennej wystawie" — stwierdza Parandowski a jego malowany dziadek „zagląda w kolorowe szybki drzwi... w tę żółtą, przez którą widać świat złoty i słodki jak miód i w tę fioletową, gdzie wszystko jest jakby przesycone popiołem spalonego nieba..."

Malowany dziadek ogląda malowany świat. I tu właśnie powstaje niebezpieczny problem. Wolno było dziecku cieszyć się kolorową szybką i przez taką szybkę oglądać świat, ale jeżeli człowiek dojrzały zapatrzony w wizję tamtych dziecinnych wspomnień, nie dostrzega w nich niczego innego i nie wyciąga żadnych wniosków ani konsekwencji poza uwagą właściwie na marginesie o „zapotrzebowaniu na pogodnych żebraków" — wówczas rodzi się niepokój, rodzą się wątpliwości, czy wolno tylko tak i tylko w ten sposób?... Czy w ogóle wolno w ten sposób?...

Przykład tego opowiadania Parandowskiego służy tu raczej jako dość charakterystyczna ilustracja t.zw. postawy wyłącznie estetycznej, nieobowiązującej do niczego poza zaspokajaniem potrzeby artystycznych przeżyć. „Malowany dziadek" stanowi dziś dla autora w równym stopniu przedmiot artystycznej kontemplacji, jak stanowił go dla tamtych malarzy i jak dla dziecka, którym autor był wówczas, przedmiot rozrywki i zainteresowania. W tych wszystkich światłocieniach, słonecznych blaskach i kolorowych szybkach zgubił się Parandowskiemu 7-letniemu chłopcu i Parandowskiemu — dojrzałemu artyście po prostu człowiek i jego ludzka sprawa. I dlatego wzruszenie, jakie odbieramy przy czytaniu tego uroczego opowiadania jest powierzchowne, dotyczy bowiem tylko częściowego, fragmentarycznego przeżycia piękna i artyzmu. Istnieć musi przecież jakiś błąd w tym założeniu, że ludzkie sprawy można przeżywać tak wyłącznie pięknoduchowsko. Buntuje się przeciw temu każdy, kto wierzy, że źródłem prawdziwej sztuki jest właśnie samo życie i pełny człowiek.

Każda postawa, która oddziela doznania estetyczne od wszelkich innych doznań, musi budzić zastrzeżenia. A właśnie ów „malowany dziadek" Parandowskiego stanowi przykład takiej izolacji, takiego odrębnego widzenia spraw sztuki, ograniczania ich do pewnej tylko sfery przeżyć. Gdybyśmy traktowali opowiadanie Parandowskiego jako charakterystykę określonego środowiska, stosunków i pojęć w nim panujących, mielibyśmy prawo oczekiwać od autora jakiejś opinii, jakiegoś artystycznego sądu, który by wyrażał uczciwą chrześcijańską ocenę własnych ówczesnych przeżyć i atmosfery środowiska, w jakiej się wychował. Tymczasem „sprawa dziadka" została przedstawiona w sposób nie wiele mający wspólnego w ogóle z jakąkolwiek oceną.

Dziadek, stary żebrak, ten typowy margines świata pokrzywdzonych i poniżonych, którego pijacki, nędzny żywot jest odbiciem panującej wokół niesprawiedliwości społecznej, został tu przedstawiony w atmosferze pełnej spokoju i pogody, niemal niefrasobliwej beztroski. Jego stosunki z zabezpieczonymi, dobrze sytuowanymi właścicielami mieszkań z „frontowym wejściem" reguluje rodzaj menu obiadowego, którego resztki dojada przysiadłszy na „kuchennych" schodach. Mieszczańskie sumienie czuje się pewnie i spokojnie w obliczu pogodnego uśmiechu żebraka, jakiegoś zabłąkanego słonecznego promienia padającego mu na twarz i jakiejś gałązki jaśminu, przeżywanej jako dobrze dobrany element dekoracyjny. Wszystko to razem tworzy obraz sielanki i ucisza wszelki niepokój wewnętrzny. I tu właśnie sprawa dziadka staje się sprawą owego „zapotrzebowania na pogodnych żebraków" jako tematu dla malarzy, wiszących u tych dobrze wypchanych mieszczańskich kieszeni i schlebiających gustom ich właścicieli. Powstaje problem mieszczańskiego sumienia tych, którzy sądzili, że wyrównali wszystko talerzem barszczu ofiarowanym żebrakowi i tych, którzy umacniali ich przekonania i zabezpieczali spokój dostarczaniem słonecznych obrazów ze słonecznymi nędzarzami. To wszystko jednakże zatarło się jakoś kompletnie w interpretacji artystycznej Parandowskiego, zgubiło się po prostu wśród kolorowych szybek. Jeżeli ktokolwiek został tu w ogóle potępiony, to owe „baciary", które zniszczyły legowisko dziadka „baciary" będące przecież przedstawicielami tych samych społecznych nizin ówczesnego świata mieszczańskiego. Patrząc jedynie poprzez kolorowe szybki, trudno rzeczywiście uchwycić to, co stanowi istotny, moralny sens ludzkich spraw.

Ktoś może zrobić zarzut, że z takiego niewielkiego opowiadania, błahego w gruncie rzeczy, robi się taki problem. Ale o to chodzi, że właśnie to niewielkie opowiadanie stanowi najbardziej charakterystyczny przykład niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą postawa wyłącznie estetyczna wobec życia i jego spraw, postawa pięknoduchowska, która uwzględnia jedynie modele i przedmioty a nie ludzi i ich istotne przeżycia.

Powyższe uwagi stanowią luźne dygresje, które nasunęły mi się przy czytaniu tego opowiadania, jako stała czytelniczka „Dziś i Jutro" pragnęłam podzielić się nimi z redakcją Waszego pisma.

łączę wyrazy poważania

Anna Kozieradzka

Wydawca: Stowarzyszenie PAX, redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1,80 zł. Kwartalnie 5.40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p tel 880 71,880 26

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3 Zam. 1998. 3-B-21927